



Laura Wright



*Dobry wybór
księcia Maxima*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Francesca Elf, mimo swego baśniowego nazwiska, nie wierzyła w bajki i zawsze uważała się za osobę twardo stąpającą po ziemi. Ale w takiej scenerii, w jakiej właśnie się znalazła, nawet ona mogła zmienić zdanie.

Nie mogła się napatrzeć na średniowieczną fortecę, nad którą w rześkim porannym wietrze łopotała fioletowo-złota flaga królestwa Llandaronu. Siedmiopiętrowe zamczysko zbudowane z bloków białego ongiś kamienia, poszarzałego przez stulecia, wznosiło się dumnie na wysokiej, skalistej skarpie tuż nad brzegiem morza. Wiodły doń schody wyciosane z jasnoszarego granitu. Ten, kto je pokonał, stawał przed bramą twierdzy, w której widniała masywna, spuszczana krata. Dziesiątki okien okolonych zimozielonymi pnączami lśniło w słońcu. Po obu stronach tej imponującej budowli w lazurowe niebo strzelały potężne wieżycy.

Fran z rozkoszą wdychała woń wrzosów i zapach morskiej wody, leniwie liżącej piaszczystą plażę. Na chwilę zapomniała o zwykłych, codziennych sprawach i o tym, co ją tutaj przywiodło.

- Witamy w Llandaronie, panienko - ozwał się znenacka głos mężczyzny, który mówił po angielsku z charakterystycznym miejscowym akcentem.

Fran wzdrygnęła się, gdyż sądziła, że poza nią nie ma nikogo w pobliżu. Odwróciła się szybko i ujrzała ogrodnika, który przycinał właśnie długie wąsy słodko pachnącego powoju.

- Coś mi się widzi, że panienka dopiero tu przyjechała. Jest na czym zawiesić oko, prawda?

Magiczna chwila rozwiała się jak mgła i ustąpiła rzeczywistości. Fran nie przyjechała do Llandaronu, aby pograć się w świecie fantazji.

Przybyła na tę małą wyspę, gdyż zaangażowano ją tu do pracy, za którą wynagrodzenie miało jej umożliwić realizację upragnionego celu. Od wielu lat Fran marzyła bowiem o otwarciu w Los Angeles własnej lecznicy dla zwierząt

- Ma pan rację - odparła. - Nazywam się Elf, jestem lekarzem weterynarii i nigdy przedtem nie widziałam tego wspaniałego zamku. Właśnie tu przyjechałam. Szukam stajni. Czy mógłby mi pan wskazać drogę?

- Jasne, proszę tylko iść prosto tą ścieżką i za chwilę będzie panienka na miejscu. I proszę pytać o Charliego, on tam wszystkim rządzi i panienkę oprowadzi.

- Bardzo dziękuję - uśmiechnęła się Fran i ruszyła wykładaną kamieniami dróżką, rozglądając się ciekawie wokoło.

Czytała w przewodnikach, że zwłaszcza wiosną Llandaron słynie z „dzikiego piękna pejzażu i wspaniałej, bujnej zieleni”. To prawda, pomyślała, ale ten i inne opisy nie oddawały prawdziwej urody wyspy. Idąc przez idealnie wypielegnowany ogród, opadający łagodnie w stronę imponujących rozmiarów stajen, widziała w oddali urzekające zielenią trawniki, pagórki porośnięte drobnym, czerwonym kwieciem i połacie fioletowych wrzosów pośród starannie przyciętych krzewów i starych drzew. Llandaron, maleńka wysepka u wybrzeży Walii, zdawała się należeć do innego świata.

Mocno przyciskając do siebie czarną torbę z lekami i narzędziami, Fran podniosła wyżej głowę i zdecydowanym krokiem, który, jak miała nadzieję, dowodził jej pewności siebie, podeszła do świeżo odnowionych, nowoczesnych stajen. W pięknie utrzymanych, czyściutkich boksach zarżały

na jej widok konie. Zatrzymała się na chwilę i każdego pogłaskała po pysku, po czym długim korytarzem ruszyła na poszukiwanie Charliego.

Gdy dotarła do ostatniego boksu, nagle stanęła jak wryta na widok wspaniale zbudowanego mężczyzny, który stojąc do niej plecami przerzucał siano do następnej przegrody. Miał na sobie tylko wypłowiałe dżinsy i znoszone, wysokie buty. Fran nie mogła oderwać od niego oczu.

Mężczyzna musiał jednak usłyszeć jej kroki, bo odwrócił się i uśmiechnął szeroko, widząc jej zakłopotanie.

- Witam panią - odezwał się dźwięcznym barytonem.

Fran, która zawsze zachowywała zdrowy dystans wobec mężczyzn, przez chwilę nie mogła wydusić słowa. Ten człowiek wyglądał jak młody bóg - bardzo wysoki, o gęstych, falujących, czarnych włosach, wyrazistych, regularnych rysach i głęboko osadzonych, ciemnoniebieskich oczach okolonych ciemnymi rzęsami. Takiego mężczyzny nigdy w życiu nie spotkała

Z największym trudem wzięła się w garść, odchrząknęła i odpowiedziała głosem znamionującym pewność siebie, której bynajmniej nie odczuwała:

- Dzień dobry. Domyślam się, że pan nazywa się Charlie.

- Domyśla się pani? - odrzekł mężczyzna, opierając się od niechcienia o framugę drzwi.

Z tonu jego głosu Fran nie mogła odgadnąć, czy jego odpowiedź jest tylko pytaniem, czy też potwierdzeniem, ale wolała na niego nie naciskać. W żadnym wypadku nie chciała, żeby ten facet się zorientował, jak bardzo jego widok wytrącił ją z równowagi.

- A ja jestem doktor Francesca Elf, ale proszę nazywać mnie Fran.

W jego niezwykłych oczach dojrzała błysk wskazujący, że wie, kim ona jest.

- Jest pani lekarzem weterynarii i przyjechała pani z Ameryki, prawda?
- Z Kalifornii.
- Blondynka, ładnie opalona, długonoga, o pięknych oczach.

Dziewczyna z Kalifornii - skonstatował mężczyzna, przyglądając się jej z zainteresowaniem.

Mimo że była ubrana w skromne beżowe, lniane spodnie i niebieską bluzkę z rękawami do łokci, pod jego natarczym wzrokiem Fran poczuła się tak, jakby miała na sobie tylko skąpą koronkową bieliznę. Wbrew swojej woli, zarumieniła się aż po uszy. Nigdy się jej to nie zdarzało, nie była przecież panną ze wsi i dobrze wiedziała, jak ustawić zbyt pewnych siebie facetów, tak by się nigdy nie domyślili, że pod maską kobiety opanowanej i chłodnej kryje się osoba nieśmiała i wrażliwa.

Fran zignorowała jego uwagę, odwróciła wzrok i zaczęła się rozglądać wokół siebie. Po swojej prawej stronie ujrzała przestronne pomieszczenie, które służyło za biuro, wygodnie umeblowane i estetycznie urządzone, z dużymi oknami wychodzącymi na trawnik ozdobiony kwietnym klombem. Przy otwartym wykuszowym oknie, w smudze słońca, spostrzegła na miękkim, zielonym posłaniu śliczną sukę, charcicę irlandzką, w mocno zaawansowanej ciąży. Właśnie do niej sprowadzono tu Franceskę aż z Kalifornii.

Jeszcze dziesięć dni temu Fran w ogóle nie miała pojęcia o istnieniu króla Olivera i jego charcicy. Niewiele wiedziała też o samym Llandaronie, aż do chwili, kiedy jej partnera i prawie narzeczonego, doktora Dennisa Cavanaugh, zawezwano tam w charakterze „królewskiego weterynarza”. Dennis, ceniony w świecie śmietanki towarzyskiej Los Angeles, bardzo

często dostawał zaproszenia do pracy w różnych ekskluzywnych miejscach. Tym razem jednak nie mógł opuścić miasta, ponieważ pewna młoda gwiazda filmowa powierzyła jego pieczy swojego ukochanego corgi, zaproponował więc Fran, by zamiast niego pojechała do Llandaronu. Ponieważ wynagrodzenie było bajeczne i pobyt w Llandaronie stwarzał miłą perspektywę odpoczynku od miasta i zaczerpnięcia świeżego, morskiego powietrza, Fran zgodziła się bez wahania.

Charcica zerknęła na nią z zaciekawieniem brązowymi, wilgotnymi oczyma, pewnie ciekawa, kim Francesca jest i co tu robi. Fran uśmiechnęła się do niej, podeszła do bramki w drzwiach i wyciągnęła rękę, aby ją otworzyć.

Zanim jednak zdołała odsunąć zasuwkę, poczuła na ręce dłoń nieznajomego.

- Proszę mi pozwolić, pani doktor. Fran wydała z siebie cichy okrzyk.

- Mam nadzieję, że pani nie oparzyłem - uśmiechnął się figlarnie mężczyzna i otworzył przed nią bramkę.

- Co też pan opowiada? Oczywiście, że nie - odparła sucho Fran i szybko weszła do środka. Słyszając jej słowa, mężczyzna zaśmiał się cicho.

- Czy aby na pewno? - mruknął.

Fran podeszła do swojej pacjentki, starając się ukryć rumieńce, którymi znów pałały jej policzki. Czemu tak gwałtownie zareagowała na zwyczajny dotyk ręki? Ale rzeczywiście, miała wrażenie, że ją sparzył...

Powinna właściwie natychmiast mu powiedzieć, żeby sobie poszedł i zostawił ją w spokoju, że sama świetnie sobie da radę, ale wiedziała, że suka będzie spokojniejsza, kiedy w pokoju będzie znana jej osoba, a przecież zdrowie jej podopiecznej było ważniejsze od wszelkich irytujących Fran niespodzianek.

- Więc to ty jesteś moją pacjentką - rzekła, siadając na posłaniu przy charcicy. Zmieszanie wywołane spotkaniem ze stajennym powoli ustępowało, kiedy Fran poczuła, że jest na swoim miejscu i może zająć się pracą.

- Jej pełne imię brzmi Wielka Dama Glindaron - oznajmił mężczyzna, który na nagi tors przywdział tymczasem znoszoną bawełnianą koszulkę. - Ale wołamy na nią Glinda.

- Glinda? - zapytała Fran, wyciągając rękę, by suka mogła ją obwąchać. - Tak jak ta dobra wróżka?

- Dobra wróżka?

- No wie pan, Glinda, dobra wróżka z „Czarodzieja z Oz”. To taki film - dodała widząc, że jej rozmówca nie kontaktuje.

- No tak, niestety u nas tego nie grają - powiedział z udawanym smutkiem.

- Co takiego?

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko i zmrużył oko.

- Jest pan bardzo dowcipny, Charlie - powiedziała z przekąsem Fran.

Jej rozmówca przysiadł niedaleko niej na podłodze. Jego bliskość znów wytrąciła Fran z równowagi. Sama nie potrafiła tego pojąć, przecież zawsze nad seksapil przekładała dobroć i łagodność. Wszystkimi siłami starała się przywołać wizerunek Dennisa, ale na próżno. Stajenny znów utkwiał w niej oczy, które miały w sobie jakąś neodpartą magię. Fran pomyślała, że mógłby z powodzeniem rzucić swoje obecne zajęcie, zostać hipnotyzerem i w mgnieniu oka dorobić się fortuny.

- Jeśli mam być szczerzy, to mieszkańcy Llandaronu uwielbiają dobre filmy - powiedział mężczyzna, drapiąc Glindę za uchem. - Także

członkowie rodziny królewskiej. Mówi się, że „Czarodziej z Oz” należy do ulubionych filmów samego króla.

- Miło mi wiedzieć, że Jego Królewska Mość ma dobry gust. Dotyczy to zarówno filmów, jak i zwierząt - powiedziała uprzejmie Fran, otwierając torbę i wyjmując słuchawki i termometr. Dała już Glindzie dość czasu, by się odprężyła i przywykła do jej zapachu, głosu i ruchów, a teraz pora wziąć się do roboty. Jeśli ten nieprzyzwoicie przystojny stajenny nie będzie chciał odejść, trudno, przyjdzie jej zacisnąć zęby i z uśmiechem znosić jego obecność.

- Czy to pan opiekuje się Glindą? - zapytała.

- No tak, staram się jej doglądać.

- Wobec tego chciałabym zadać panu kilka pytań.

- Bardzo proszę.

- Czy suka je i pije jak zwykle?

- Je mniej, za to więcej pije.

- Czy może krwawiła, wymiotowała albo miała biegunkę?

- Nie.

- To dobrze - powiedziała Fran i przykucnęła przy charcicy. - Może ją pan pogłaszcz, żeby leżała spokojnie, a ja ją tymczasem zbadam.

- Więc mam być asystentem pani doktor? - zapytał mężczyzna, unosząc z rozbawieniem brew.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- A dlaczego miałbym mieć?

- Nie chcę pana odrywać od jego pracy.

- Mojej pracy?

- No tak, od sprzątnia boksów i karmienia zwierząt...

- Ach tak, oczywiście - odparł, a w jego oczach zamigotały wesołe iskierki. - Ale te kilka minut chyba mnie nie zbawi.

- Byłoby mi przykro, gdyby przeze mnie naraził się pan swojemu szefowi, więc proszę mi powiedzieć, gdy będzie pan musiał już odejść.

- To bardzo uprzejmie z pani strony - zaśmiał się cicho.

- Ale nie ma sprawy. Tak się składa, że jestem w bardzo dobrych stosunkach z moim pracodawcą.

Fran bez pośpiechu zmierzyła psu temperaturę, uważnie osłuchiwała płuca i brzuch.

- Charty irlandzkie nie zawsze dobrze znoszą ciężą i poród - zauważył mężczyzna, kiedy Fran zdjęła z uszu słuchawki i zaczęła badać oczy i uszy charcicy. - Słyszałem, że pani jest specjalistką w tej dziedzinie.

- Tym pogłoskom nie mogę zaprzeczyć.

- A czy są jakieś inne? - zapytał mężczyzna, pochylając się nad Glindą, kiedy Fran otworzyła jej pysk, żeby obejrzeć zęby.

- Oczywiście - odparła lekko Fran, podtrzymując tę żartobliwą wymianę zdań. - Ale to wszystko kłamstwa, a w najlepszym razie półprawdy.

- Mimo wszystko, chciałbym je usłyszeć. Fran ściągnęła wargi i pokręciła głową,

- Nie sądzę, żeby to był odpowiedni temat do rozmów ze słynącymi z łagodności i niewinności mieszkańcami Llandaronu.

Mężczyzna rzucił jej spojrzenie, z którego jasno wynikało, że nie jest ani łagodny, ani niewinny.

Tak jakby sama się tego nie domyślała.

- A co pani doktor sądzi o Llandaronie? - zapytał, zbliżając niebezpiecznie twarz do jej twarzy.

- No cóż, jestem tu dopiero od kilku godzin, ale z tego, co widziałam, muszę powiedzieć, że...

- Że robi duże wrażenie? - wszedł jej w słowo swoim aksamitnym barytonem.

- Właśnie - odparła, z trudem dobywając głosu. Co się ze mną dzieje? pomyślała z przerażeniem. Chyba nie powinna była tu przyjeżdżać. Może trzeba było zostać z Dennisem w Los Angeles?

Fran odrzuciła jednak tę bezsensowną myśl. Mówi się trudno. Ten mężczyzna bardzo się jej podoba. To się zdarza. Normalka. Przecież nie musi z tym walczyć, nie może tylko dopuścić, by przeszkadzało jej to w pracy.

- To prawda - zgodził się z nią mężczyzna, przerywając tok jej myśli. - Mieszkańcy Llandaronu są dumni ze swego kraju, z jego nieskażonego piękna i spokoju.

- Czy pan tu mieszka od urodzenia? - zagadnęła Fran, głaszcząc futro Glindy.

- W Llandaronie czy tutaj, na zamku?

- I tu, i tu.

- Odpowiedź brzmi „tak”, w obu przypadkach.

- A więc dorastał pan w luksusowych warunkach - zauważyła Fran. - Najpierw pracowali tu pana rodzice, a teraz pan?

- Można by to nazwać rodzinną firmą.

- Wydaje mi się, że powiedział to pan z żalem.

- Bywa tak, że nie mamy w życiu wyboru, pani doktor.

- Nonsens - odpaliła Fran.

- Tak pani sądzi?

- Oczywiście.

Glinda tymczasem z pełnym zaufaniem położyła jej głowę na kolanach i, uspokojona, przymknęła oczy.

- Mamy tylko jedno życie. Byłoby wielkim marnotrawstwem, gdybyśmy pozwolili innym decydować o tym, jakich dokonujemy wyborów.

- Marnotrawstwem czasu?

- Całego życia. Mój ojciec zawsze mi powtarzał: „Życie jest bezcennym darem”. - Serce Fran ścisnęło się z żalu na wspomnienie ojca, który zmarł piętnaście lat temu, zostawiając ją samą. Fran wychowywała się w rodzinie, która dbała o nią tyle, co o zeszłoroczny śnieg.

- A co z dziećmi królewskimi, pani doktor? One przecież na pierwszym miejscu muszą stawiać obowiązek i honor. Nie mogą sobie w żadnym wypadku pozwolić na ten luksus, jakim jest swobodny wybór.

- Oczywiście, że mogą. Po prostu odsuwają na bok własne chęci i potrzeby i wybierają obowiązek i honor. - Tak, jak ona wybrała łagodnego i stałego w uczuciach Dennisa, i przestała zawracać sobie głowę facetami, którzy celują w prawieniu komplementów i którym zależy tylko na jednym, a gdy tylko to dostaną, ruszają na następny podbój. Fran nie da się więcej nabrać tym fałszywym książętom z bajki, tym wilkom w owczej skórze. Chwała Bogu, że uległa kiedyś tylko jednemu, i o tego jednego było za dużo.

Fran zajęła się znów Glindą, zbadła jej brzuch i wyczuła pod palcami maleńkie pieski.

- To zabawne - powiedziała, na chwilę odwracając głowę - jak większość ludzi idealizuje życie rodzin królewskich, ich styl życia, te wytworne przyjęcia i bale, romantyczne pocałunki, zabójczo przystojnych królewiczów i piękne królowny, cały ten kram.

- Ale nie pani?

- Nie, nie ja. Kiedy byłam mała, nie siedziałam jak zaczarowana z oczyma wlepionymi w kreskówki Disneya.

- To co pani robiła jako mała dziewczynka?

- Opatrywałam różne okaleczone zwierzęta, które przychodziły na nasze podwórko - uśmiechnęła się Fran.

- Założę się, że udawało się pani wszystkie wyleczyć -zauważył mężczyzna.

- Większość. Ale to nie znaczy, że potrafiłam nad wszystkim zapanować. - Na przykład była bezradna, kiedy jej przyrodni bracia płatali jej okrutne figle, chowając przed nią jej chorych podopiecznych i doprowadzali ją do płaczu, aż wreszcie musiała ich błagać, żeby je uwolnili.

- Powiedzmy, że nigdy nie patrzyłam na życie przez różowe okulary - dodała Fran, odsuwając na bok bolesne wspomnienia.

- Więc jak na nie patrzysz, Francesco?

- Proszę nazywać mnie Fran - powtórzyła. - Jeśli już musi pan wiedzieć, to patrzę na świat przez okulary, które pozwalają widzieć w podczerwieni. Pragnę widzieć szczegóły, całą prawdę. Nie chcę, by mnie oślepiały jakieś mrzonki czy zauroczenia.

- Ale zauroczenia bywają szalenie miłe - zaprotestował jej rozmówca, utkwivszy w niej ciemnoniebieskie oczy, w których nietrudno było dostrzec inteligencję, a także namiętność.

- Być może, ale są raczej krótkotrwałe.

- A ty nie szukasz krótkotrwałych przyjemności? Fran odwróciła wzrok i zignorowała jego pytanie.

- Ile masz lat, Francesco?

- Dwadzieścia osiem.

- Muszę powiedzieć, że jesteś bardzo mądra, jak na tak młodą osobę.

Fran wzruszyła lekko ramionami, zakłopotana jego komplementem.

- Po prostu wiem, czego chcę.

- To bardzo postępowe podejście do życia.

- Doprawdy?

- Wasza wysokość, przepraszam, jeśli przeszkadzam.

Fran błyskawicznie spojrzała w stronę drzwi. Stał w nich starszy człowiek w roboczym ubraniu i zielonym berecie, spod którego wystawały siwe włosy. W jego oczach widać było zaciekawienie.

- Dzień dobry, Charlie - odparł mężczyzna, zmieniając ton głosu na bardziej oficjalny.

Fran poczuła, jak jej serce zamiera.

- Dzień dobry, wasza książęca wysokość - odparł Charlie, kłaniając się nisko. - Jego królewska mość wrócił już z miasta i życzy sobie mówić z księciem.

- Dziękuję, Charlie, możesz odejść.

Fran nie czekała, aż stajenny zamknie za sobą drzwi. Zmrużyła oczy i odezwała się pytająco:

- Wasza wysokość?

- Proszę mi wybaczyć, nie zdążyłem oficjalnie się przedstawić. - Skłonił głowę, ale nie spuścił z twarzy Fran swoich niezwykłych, intensywnie niebieskich oczu. - Jestem księżę Maxim Stephen Henry Thorne.

ROZDZIAŁ DRUGI

Maxim, widząc, jak pociemniały orzechowe oczy pięknej Amerykanki, nie po raz pierwszy przeklął układ, który przed blisko rokiem zawarł ze swoim ojcem. Dlaczego, u licha, zgodził się poślubić jakąś nudziarę, w której żyłach płynie błękitna krew, kiedy po świecie chodzą - i kuszą - kobiety tak niezwykle, jak ta lekarka z Kalifornii?

Nigdy w życiu nie spotkał kobiety równie inteligentnej i mądrej jak ona. Nie szukał dotąd takich cech u swoich partnerek i musiał przyznać, że Francesca Elf jest zupełnie inna od wszystkich...

Szczupła, ale krągła we właściwych miejscach, o lśniących, złotych włosach opadających na proste ramiona, o aksamitnej skórze, twarzy w kształcie serca i niezwykle ponętnych, różowych ustach.

- Wasza książęca wysokość? - zagadnęła go z wyrzutem w głosie.

- Tak, pani doktor?

- Może to nie jest eleganckie wyrażenie, ale zostałam wpuszczona w maliny.

- Rzeczywiście - odparł i skinął głową.

- Nie lubię, kiedy ktoś tak ze mną postępuje - oznajmiła surowo. - Za często doświadczałam tego w dzieciństwie. I nie zamierzam teraz nikomu na to pozwalać. Czy to książę, czy stajenny.

Maxim popatrzył na nią z rozbawieniem. Nikt nigdy tak do niego nie przemawiał. Przywykł, że kobiety z nim flirtowały, prawily mu komplementy i bez oporów pozwalały się uwieść.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł.

Fran zawahała się chwilę, jakby niepewna, co mu ma odpowiedzieć, po czym, ze zmieszaniem w oczach zauważyła:

- Przerzucał pan siano.

- Lubię czasem trochę się rozerwać czy może raczej oderwać się.

- Oderwać się? Od czego? Od tego idealnego miejsca, w jakim pan żyje?

- Żadne miejsce nie jest idealne, pani doktor. Fran wydała z siebie ciche westchnienie rezygnacji.

- Więc jak mam się teraz zachować?

- Nie bardzo rozumiem to pytanie.

- Jeśli pan sądzi, że teraz wstanę i złożę mu dworski ukłon, po tym, jak mnie pan potraktował...

- Ależ broń Boże! - Uśmiechnął się szeroko. - W każdym razie nie w tej chwili.

- Nigdy - wykrzyknęła i zerwała się na nogi, nie czekając, aż poda jej dłoń.

- Może na zamku albo w obecności mego ojca mogłaby pani doktor przynajmniej skinąć mi głową?

- Zobaczymy - powiedziała po chwili.

- Byłbym bardzo zobowiązany. - Maxim uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Chciałabym wiedzieć - odezwała się Fran, krzyżując ręce na kształtnej piersi - dlaczego mi pan nie powiedział, kim pan jest? Czy ta zabawa moim kosztem również była formą rozrywki?

- Prawdę powiedziawszy, chciałem się przekonać, jakie to uczucie, kiedy się występuje anonimowo.

- No i jakie to uczucie?

- Inspirujące.

- Cieszę się, że mogłam się do tego przyczynić - zauważyła Fran z przekąsem.

- Jesteś pewna, że teraz, kiedy już znasz prawdę, będziesz mnie traktowała tak samo jak przedtem?

- Sumienie i ambicja nie pozwoliłyby mi traktować pana inaczej niż jak dowcipnisią, którym się pan okazał.

- To by było bardzo przykre - powiedział Maxim i, błysnąwszy w uśmiechu zębami, podszedł do biurka i zaczął porządkować papiery, nad którymi praca uprzednio tak bardzo go znudziła, że wolał wziąć do ręki widły i zająć się sianem dla koni. Po niedługiej chwili odwrócił się i powiedział:

- Miło mi było panią poznać, pani doktor. Z pewnością znów się zobaczymy.

- A kim pan będzie następnym razem? - zapytała Fran, z trudem powstrzymując chichot.

- Zawsze chciałem spróbować sił jako kamieniarz - odparł Maxim, unosząc brew.

- Świetny pomysł.

- Ma jednak pewną wadę, gdy się nad nim zastanowić - westchnął Maxim. - Musiałbym pracować zbyt daleko od stajni. - Mówiąc to skłonił głowę i ruszył do wyjścia.

- Nie sędzę, by to była wada, wasza wysokość. Maxim przystanął i spojrzał na nią.

- Taki wzniosły tytuł nie wydaje mi się stosowny po tym nieoficjalnym tete-a-tete, w którym właśnie uczestniczyliśmy.

- Jak więc mam mówić? - zapytała. - Książę Maxim?

- Może po prostu Maxim?

- To może po prostu Max? - Uśmiechnęła się kokieteryjnie.

- To nie byłoby właściwe - odparł beznamietnym tonem, który sam sobie narzucił. W rzeczywistości z największym trudem oderwał wzrok od jej kuszących ust. Poczuł, że powinien natychmiast stąd wyjść, póki jeszcze nad sobą panuje.

- Do widzenia, Francesco.

- Żegnaj, Maxim - powiedziała Fran, składając mu zabawnie przesadny ukłon.

Po raz pierwszy od dawna Maxim roześmiał się głośno i szczerze.

Fran stała przed wielkim lustrem w swojej wykwintnej, błękitnej sypialni we wschodnim skrzydle zamku i z aprobatą przyglądała się swemu odbiciu. Miała na sobie atrakcyjną, czekoladowobrązową suknię i dobrane do niej czółenka na bardzo wysokich szpilkach, włosy upięła w fantazyjny węzeł, zgodnie z ostatnią modą. W sercu czuła jednak lekki smutek i niepokój, którym towarzyszyła jednak nadzieja. Nadzieja, że znów ujrzy pewnego księcia.

Dobry Boże! Księcia.

Czyżby całkiem oszalała? Czy przeczyste powietrze Llandaronu zawróciło jej w głowie i odebrało zdolność racjonalnego rozumowania? Ona i książę. Co za piramidalny nonsens. Ale nawet gdyby potrafiła choć na chwilę zapomnieć, że Maxim jest następcą tronu w tym królestwie jak z bajki, to dlaczego w ogóle nie myślała o Dennisie? Wprawdzie nie byli jeszcze formalnie zaręczeni, ale przed jej wyjazdem Dennis poprosił, by została jego żoną, a ona odpowiedziała, że się nad tym zastanowi. Szczerze mówiąc, nie byli w sobie zakochani, ale to dlatego, że żadne z nich nie wierzyło w prawdziwą miłość. Podobnie jak ona, także Dennis przeżył w

swoim czasie zawód miłosny, który mocno zranił jego uczucia. Tak więc oboje nie byli romantykami.

Właśnie dlatego, że łączyły ich podobne poglądy i że uprawiali ten sam zawód, stanowili parę dobrych przyjaciół. I to powinno gwarantować trwałość ich związku, wzajemną troskę i wspieranie się w potrzebie.

Wszystko tak pomyślnie się układało - ale chyba jakiś chochlik sprawił, że Fran przyjechała do Llandaronu i spotkała prawdziwego księcia z bajki...

Oczywiście wyobraźni ujrzała na moment twarz Maxima. Te ciemnoniebieskie oczy ocienione czarnymi rzęsami, te szlachetne, pięknie zarysowane usta, ta postawa...

Czy był żonaty? Na samą myśl o tym przeszył ją dreszcz. Odwróciła się od lustra i pomyślała, że stan cywilny jego książęcej wysokości nie powinien jej obchodzić. Ani cokolwiek, co go dotyczy. Zresztą bardzo prawdopodobne, że i tak już go więcej nie zobaczy. On ma przecież swoje własne zajęcia na dworze królewskim. Z pewnością nie zechce tracić czasu, żeby biegać codziennie do stajni i przekomarzać się z jakąś plebejką z Kalifornii.

Fran spojrzała na zegarek. Zrobiło się późno. Za pięć szósta.

Przed godziną poznała króla, przystojnego, szpakowatego mężczyznę o krzaczastych brwiach, spod których spoglądały życzliwie bystre oczy, takie same, jak u jego syna. Wysłuchawszy sprawozdania Fran na temat wyśmienitego stanu zdrowia Glindy, król zaprosił Fran na kolację, która miała się rozpocząć punktualnie o szóstej.

Mój Boże, pomyślała, wychodząc z pokoju i zbiegając po długich schodach, przecież w ogóle nie przyszło jej do głowy, że król Llandaronu zechce z nią zjeść kolację. Spodziewała się, że ktoś będzie jej przynosił co

wieczór kolację na tacy do pokoju. Albo że przyjdzie jej jadać w kuchni ze służbą.

W wielkim holu na dole pojawił się wysoki cień, na którego widok Fran gwałtownie zabiło serce. Kiedy pokonała ostatni stopień, usłyszała znajomy dźwięczny baryton.

- Dobry wieczór, Francesco.

- Dobry wieczór... - zaczęła, ale słowa uwieźły jej w gardle, gdy ujrzała na środku marmurowej posadzki dumną postać księcia jakby żywcem wziętego z bajki. Lekko się zachwiała i musiała na moment przytrzymać się poręczy. Zamiast dżinsów i bawełnianej koszulki miał na sobie nienagannie skrojony czarny garnitur i śnieżnobiałą wizytową koszulę. Stroju dopełniał spokojny, ciemnoniebieski krawat w kolorze jego oczu.

- Pięknie pani wygląda, pani doktor - powiedział, z podziwem lustrując ją od stóp do głów. - Czy pozwoli pani, bym jej towarzyszył?

Miała wielką ochotę wziąć go pod rękę i poczuć pod palcami jego stalowe mięśnie, ale przełamała się i odrzekła:

- Dziękuję, ale sama sobie poradzę.

- Czy chodzi tylko o mnie, czy w ogóle masz problemy z mężczyznami, którzy okazują ci odrobinę galanterii?

- Chodzi tylko o pana - wypaliła, zanim zdążyła pomyśleć. Może go obraziła, odzywając się tak niestosownie?

Ale Maxim tylko się uśmiechnął.

- Proszę ze mną - odezwał się spokojnym tonem i ruszył do drzwi, które właśnie otwierał przed nim wyprężony jak struna starszy jegomość we fraku.

Fran spojrzała najpierw na otwarte drzwi, a potem na Maxima.

- Dokąd mam z panem pójść?

- Musimy stąd wyjść.

- Ale przecież król zaprosił mnie...

- Mój ojciec rozmawia teraz z prezydentem Litwy. Prosił mnie, bym się tobą zajął.

- Doprawdy? - spytała nieufnie.

- Nie bądź taka podejrzliwa. - Uśmiechnął się, spoglądając na nią z ukosa. - Obiecuję, że nie będę próbował żadnych sztuczek.

- Zgoda - powiedziała Fran. - Muszę przyznać, że jestem głodna. A dokąd się wybierzemy? - Czytała w przewodniku, że w mieście są znakomite restauracje i kawiarnie, gdzie podają pyszne lody, a nawet jest sklep, w którym sprzedają cukierki toffi własnej produkcji. Ale czy członkowie rodziny królewskiej jadają w restauracjach?

- Do latarni morskiej - odparł Maxim, ujmując ją za ramię i przeprowadzając przez drzwi.

A więc chyba do restauracji, pomyślała. Jest tam pewnie jakaś przytulna knajpka, w której podają ryby i owoce morza... Przechodząc koło jednej z zamkowych wież Fran spojrzała w górę i spostrzegła mlecznobiałe obłoki, które zaczęły przesłaniać niebo i zachodzące słońce i spływać nisko nad ziemię.

- Co się tu dzieje? - zapytała rozbawiona, gdy znalazła się w samym środku białego, gęstego obłoku.

- To mgła.

- Mgła? Ale przecież niebo było dziś wyjątkowo czyste, ani śladu zamglenia czy obłoku. Skąd się to wszystko wzięło? Spowija mnie coś tak gęstego, jak cukrowa wata. Nie widzę przed sobą dalej niż na dwa metry.

- Przywykniesz do niej - rzekł Maxim, ujmując ją za rękę.

- Czyżby? - zapytała niepewnie, świadoma dotyku i ciepła jego dużej, silnej dłoni. Może należało uwolnić rękę, dać jemu i sobie sygnał, że wszelkie zbliżenie między nimi jest niestosowne. Ale tego nie uczyniła. Zapomniała nawet, że powinna zabrać ze swego pokoju zakiet i torebkę, po prostu pozwoliła mu się prowadzić przez trawnik i oddalić od zamku.

- Kiedy moi przodkowie przybyli na tę wyspę - zaczął wyjaśniać Maxim - obie rodziny królewskie, Thorne'owie i Brunellowie, pragnęły, by doszło do mariażu ich pierworodnych dzieci. Tak się jednak zdarzyło, że najstarsza córka Thorne'ów, Sana, zakochała się bez pamięci w innym młodzieńcu, ubogim robotniku stoczniowym. Kiedy ojciec surowo jej zabronił się z nim widywać, Sana odebrała sobie życie. - Mówiąc to, Maxim zacisnął rękę na dłoni Fran. - Tej właśnie nocy po raz pierwszy pojawiła się mgła.

- Czy to legenda? - zapytała z lękiem Fran.

- Nie, to fakt historyczny - odparł Maxim, prowadząc ją ostrożnie wokół wielkiego głazu. - Od tego czasu mgła opada codziennie o szóstej po południu i znika o siódmej. Niektórzy mówią, że sprowadza ją Sana z myślą o wszystkich nieszczęśliwych kochankach. Przez tę jedną godzinę mogą być razem, bez obawy, że ich ktoś odkryje.

Fran nie umiała się powstrzymać, żeby nie zapytać:

- A pan spotkał kiedyś kogoś we mgle?

Maxim zaśmiał się cicho i odrzekł:

- Nie, aż do dzisiaj.

Po chwili, gdy poczuła zapach morza, Fran zorientowała się, że wcale nie zmierzają do miasta. Przystanęła, spojrzała Maximowi w oczy i powiedziała:

- Obiecał mi pan, że nie będzie próbował żadnych sztuczek.

- I dotrzymałem słowa, Francesco. To nie jest żadna sztuczka.

- Więc co my tu robimy?

- Ja tu mieszkam.

Podprowadził ją jeszcze kawałek, aż wreszcie, poprzez wciąż jeszcze gęstą mgłę, z trudem dojrzała zarys dwóch pierwszych pięter latarni morskiej. Budowla była wysoka i olśniewająca, podobnie jak jej właściciel. Bursztynowe, ciepłe światło sączyło się przez okna, zapraszając do wnętrza.

Maxim bez słowa poprowadził ją przez kamienne schody, potem przez skalną półkę i wreszcie przez masywne, dębowe drzwi.

- Pan tutaj mieszka? - zapytała ze zdumieniem w głosie. - Nie na zamku?

- Wolę mieszkać sam - odparł, puszczając jej rękę.

Fran dziwnie się poczuła, wolna od tego uścisku. Z jednej strony miała wrażenie ulgi, z drugiej jednak wydało się jej, że jakby nie do końca jest sobą, jakby jej część pozostała z nim, z jego dłonią.

Maxim poszedł pierwszy, a ona ruszyła za nim pięknymi, krętymi schodami, na drugie piętro trzy poziomowego mieszkania. W salonie puszyste perskie dywany pokrywały lśniącą, drewnianą podłogę, naprzeciwko siebie stały dwie wygodne kryte skórą kanapy w śliwkowym kolorze, a między nimi kunsztownie rzeźbiona, mahoniowa skrzynia. Jedną ścianę zajmował marmurowy kominek, przeciwległą kilka małych okienek, a w trzeciej widniało duże, otwarte na oścież okno, przez które wpadała do pokoju chłodna, morska bryza, poruszająca delikatnie różki złocistych serwetek na talerzach, które były zapewne ze szczerego złota. Mahoniowy stół został elegancko nakryty na dwie osoby.

- Bardzo tu pięknie - powiedziała z podziwem Fran. - Cudownie zagospodarował pan tę przestrzeń.

- Dziękuję za słowa uznania. Włożyłem w to dużo serca. Ta latarnia zawsze mnie pociągała. Gdy byłem dzieckiem, lubiłem tu uciekać, kiedy tylko nadarzyła się okazja. A kiedy Llandaron przestał z niej korzystać, postanowiłem urządzić tu sobie mieszkanie.

Maxim podszedł do stołu i odsunął jej krzesło. Fran pomyślała, że cała ta sceneria jest surrealistyczna - wykwintnie nakryty stół, a za nim okno z przepięknym widokiem na morze. Siadając na krześle wyściełanym materiałą z grubego jedwabiu w kolorze śliwkowym, postanowiła cały czas pamiętać, kim jest oraz skąd przybyła - i że naprzeciw niej siedzi prawdziwy książę, a nie postać z bajki.

Gdy tylko oboje usadowili się wygodnie przy stole, w pokoju zjawiała się kobieta z burzą szpakowatych włosów i z miłym, szczerym uśmiechem postawiła przed nimi parę półmisek.

- Cheeseburgery, frytki i piwo? - zdumiała się Fran.

- Pomyślałem, że w pierwszy wieczór z dala od domu będzie ci smakowała amerykańska kolacja - powiedział Maxim, chrupiąc złocistą frytkę.

Fran roześmiała się, kładąc na kolanach serwetkę. Cheeseburgery i frytki na szczerozłotych talerzach - to dopiero gratka!

- Jest także sok albo woda mineralna, jeśli nie masz ochoty na alkohol - powiedział Maxim.

- Nie, dziękuję, piwo mi odpowiada.

Maxim natychmiast zabrał się do jedzenia. Fran patrzyła na niego jak zahipnotyzowana, pałaszował swego cheeseburgera z takim apetytem, jak każdy Amerykanin z krwi i kości. Ale w tym przypadku pozory były mylące. W żyłach tego faceta z ketchupem na ustach płynęła nie czerwona, lecz błękitna krew. Fran dobrze wiedziała, że musi zapanować nad sobą i że

nie wolno jej ufać ani temu playboyowi z królewskiego rodu, ani samej sobie, swoim uczuciom i zachowaniu, kiedy on znajduje się w pobliżu.

- Czy coś jest nie tak, Francesco?

- Słucham? - odpowiedziała nieprzytomnie, wciąż pogrążona w myślach.

- Nic nie jesz i wyglądasz tak, jakbyś chciała coś powiedzieć.

Musiała mu wreszcie coś wymyślić. Cokolwiek... Wybrała łatwy temat.

- Czy wasza wysokość był kiedyś w Ameryce?

- Wiele razy. Jestem właścicielem kilku dużych firm w Stanach Zjednoczonych.

- Naprawdę? - zdumiała się Fran.

- No tak. Widzisz, ja pracuję - zaśmiał się cicho Maxim. - Staram się być nie tylko członkiem rodziny królewskiej, ale także obywatelem świata. Moje firmy produkują urządzenia do oczyszczania powietrza i wody w biurach i hotelach. Odkąd pamiętam, zawsze chciałem się przyczynić do tego, żeby świat, w którym żyjemy, był zdrowszy. Może to dziwne, że już jako chłopak zacząłem o tym myśleć, ale cóż, tak właśnie było, i nic nie mogło mnie odwieść od tego zamiaru. - Maxim przechylił na bok głowę, spojrzał na Fran i dodał:

- Przypuszczam, że ty także zaczęłaś się troszczyć o zwierzęta jeszcze jako dziewczynka?

Fran pociągnęła łyk zimnego piwa i odpowiedziała:

- To się zaczęło wtedy, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam malutką wiewiórkę, której łapka uwięzła w pułapce. Uwolniłam ją, a sama połknęłam haczyk... Ustawiłam w ogrodzie klatki dla chorych zwierząt.

Trudno mi to samej pojąć, ale odkąd pomogłam tej wiewiórcy, coraz to nowe zwierzaki zaczęły trafiać do naszego ogrodu.

- Widocznie w królestwie zwierząt rozeszła się fama o twoich umiejętnościach.

- Chyba tak - przyznała Fran, gryząc chrupiącą, złocistą frytkę. - Naprawdę wierzę, że mnie szukały. Wiedziały, że bardzo chcę im pomóc.

- Oczywiście, że tak było - potwierdził Maxim z takim przekonaniem, że Fran zamilkła na chwilę, zaskoczona jego reakcją. Zwykle, gdy mówiła coś podobnego, ludzie śmiali się

I myśleli, że próbuje ich nabrać albo, co gorsza, że ma lekkiego bzika. Dennis zawsze sobie z niej dworował, kiedy twierdziła, że potrafi czasami zrozumieć, co czuje jakieś zwierzę.

- Więc poszłaś na studia, zostałam lekarzem weterynarii - powiedział Maxim, patrząc na nią ze zrozumieniem - a potem...

- Potem wspólnie z Dennisem otworzyliśmy prywatny gabinet.

- Z Dennisem?

- To mój... no cóż, to mój bardzo dobry przyjaciel, dobry człowiek, naprawdę... - Fran wiedziała, że plecie bzdury, i za chwilę Maxim uzna ją pewnie za kretynkę. I dlaczego mu nie powiedziała, że Dennis jest już właściwie jej narzeczonym? - Dennis to facet... no... bardzo praktyczny i skuteczny w działaniu, no i świetnie sobie radzi ze zwierzętami.

- Mam wrażenie, że niezły z niego nudziarz.

- Ależ skąd - pokręciła głową Fran. - Wcale nie. On jest...

- Wiem, wiem - odezwał się Maxim, uśmiechając się szeroko. -

Praktyczny i skuteczny w działaniu.

Fran spojrzała na niego z ukosa.

- Mężczyzna nie musi być bogatym, przystojnym księciem, żeby się podobać kobiecie, wasza wysokość.

- Uważasz, że jestem przystojny? - zapytał, wlepiając w nią zabójcze spojrzenie ciemnobłękitnych oczu.

Fran chciała odwrócić ód niego wzrok, ale po prostu nie mogła. Chciała sięgnąć po swojego hamburgera i zatkać nim usta, żeby nie pleść więcej głupstw, ale zupełnie straciła apetyt. W każdym razie apetyt na jedzenie. Powinna jak najszybciej uciec od księcia Maxima, od tej cielesnej, cudownej magii, która z niego emanuje.

- Myślę... że już się najadłam - wybąkała, po czym wstała i odłożyła na stół serwetkę. - Jestem naprawdę zmęczona. Mam za sobą długą podróż i dzień pełen wrażeń, i nie mam ochoty zarywać nocy, więc już sobie pójdę.

- Odprowadzę cię - uśmiechnął się Maxim, pociągając ostatni łyk piwa.

- Myślę, że sama znajdę drogę - powiedziała Fran, wyglądając przez okno. - Mgła już opadła.

Ale Maxim był księciem i dżentelmenem, toteż mimo jej protestów odprowadził ją na zamek i uprzejmie życzył dobrej nocy.

- Więc zamierzasz ją poślubić?

Maxim właśnie pożegnał się z Francescą w tym samym holu, w którym przedtem się spotkali. Był spięty, czuł że bardzo pragnie czegoś, o czym nawet nie powinien myśleć i zupełnie nie miał nastroju na rozmowę z ojcem. Ale nie mógł też udać, że nie widzi i nie słyszy ojca, który siedział na fotelu w bibliotece, stanął więc w drzwiach i zapytał:

- Mianowicie kogo?

- Księżnę Claymore.

- Nie. - Jedna noc spędzona z tą kobietą zupełnie mu wystarczyła.

Król oparł się wygodniej w fotelu i odezwał się chłodno:

- Czy muszę ci przypominać o naszej umowie?

- Nie - odparł Maxim, z trudem zachowując zimną krew.

- Dokładnie jedenaście miesięcy temu siedzieliśmy obaj w tej bibliotece i rozmawialiśmy o tym, jakie to ważne, by obaj moi synowie byli żonaci. Dałem ci rok na znalezienie sobie żony i dobrze pamiętam, że skinąłeś na to głową. - Król zdjął okulary do czytania i z powagą spojrzał synowi w oczy. - Został ci tylko miesiąc, Maximie. Jeśli w tym czasie nie znajdziesz sobie odpowiedniej żony, przysięgam, że sam dokonam za ciebie wyboru.

- Ojcze, nie spotkałem żadnej kobiety, którą chciałbym poślubić - odparł Maxim z kamiennym spokojem. - Proponuję, byśmy zamknęli ten temat, zanim obaj stracimy panowanie nad sobą.

- Nie zamierzam zamknąć tego tematu, Maximie. Twój brat ożenił się pięć lat temu i dotąd nie ma następcy. Świetnie wiesz, jaki jest twój obowiązek wobec ojczyzny. Jeśli kochasz ten kraj, uczynisz to, co powinieneś uczynić.

Maxim poczuł, jak ogarnia go wściekłość. Zrobiło mu się ciemno przed oczami, kiedy patrzył na tego mężczyznę, którego kochał i szanował ponad wszystkich i który miał kiedyś szczęście zakochać się w przyszłej królowej. Przecież kto jak kto, ale właśnie jego ojciec powinien pragnąć takiego samego szczęścia dla swego dziecka?

Pięć lat temu, gdy ożenił się jego starszy brat, Alex, Max im miał nadzieję, że będzie zwolniony z obowiązku poślubienia obojętnej mu kobiety. Ale gdy po trzech latach małżeństwo Aleksa okazało się bezdzietne, Maxim wiedział, co go czeka. Llandaron był bardzo małym krajem, któremu zawsze groziło wchłonięcie przez jednego z większych i potężniejszych

sąsiadów. Jego kraj potrzebował autonomii, a los obywateli zależał od dobrego i troskliwego rządu oraz od stabilizacji w rodzinie królewskiej.

Mimo to Maxim za żadne skarby nie zamierzał poślubić kobiety, której nie pokocha. A zważywszy, że w ciągu trzydziestu pięciu lat swego życia nie zaznał nawet w przybliżeniu takiego uczucia, nadzieja na zmianę tego stanu rzeczy była raczej nikła.

Król potrząsnął głową i westchnął:

- Nie rozumiem cię. W naszym królestwie są setki wspaniałych kobiet, spośród których mógłbyś sobie wybrać żonę.

Maxowi głośno zabrzmiały w uszach słowa ślicznej Amerykanki, która przyjechała, aby zająć się Glindą: „Mamy tylko jedno życie. Nie należy go marnować pozwalając, by kierowali nim inni”. Fran z uporem twierdziła, że ludzie mają możliwości wyboru. Maxim westchnął głęboko i pokręcił przecząco głową. Zwykli ludzie tak, ale książę? Człowiek, który kocha swój kraj? Czy nie powinien dla dobra tego kraju poświęcić swoich osobistych potrzeb?

- Posłuchaj mnie uważnie - odezwał się król stanowczym głosem. - Za trzy tygodnie, w sobotę, podczas wielkiego balu oznajmisz gościom, kim jest twoja przyszła małżonka. W przeciwnym wypadku zrobię to sam,

Maxim zacisnął zęby. Jego ojciec nie zamierza ustąpić. Małżonka. I to odpowiednia małżonka.

Odpowiednia.

Ciekawe, czy ojciec poparłby jego wybór, gdyby okazała się nieodpowiednia?

Życząc ojcu dobrej nocy Maxim opuścił bibliotekę. Doktor Francesca Elf zaintrygowała go, rozbawiła i spodobała mu się od pierwszego wejrzenia. Idąc do swego apartamentu, nagle doznał olśnienia.

Świetnie się składa! pomyślał i uśmiechnął się z zadowoleniem.
Uwiedzie Francescę, kobietę „nieodpowiednią” i będzie się z nią afiszował,
a ojciec niech sobie potem łamie głowę, co począć z małżeństwem syna.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Wczesnym rankiem Glinda, na którą padał snop światła, podniosła na Fran brązowe, wilgotne oczy, jakby chciała ją prosić o pomoc.

- Nie martw się, skarbie, nie pozwolę, by tobie czy twoim słodkim maleństwom stało się coś złego - szepnęła Fran, gładząc charcicę po wełnistej sierści.

Uspokojona i zadowolona, Glinda położyła się z powrotem na posłaniu, przymykając oczy. Fran żałowała, że nie może się położyć przy tym miłym zwierzaku i zdrzemnąć na chwilę po marnie przespanej nocy.

Od północy aż do świtu wyobrażnia podsuwała jej obrazy zamków, książąt i morskich latarni. Wreszcie, kiedy na horyzoncie ukazała się złota tarcza słońca, zapadła w głęboki sen. Była już prawie ósma, kiedy obudziła się w masywnym, drewnianym łożu. Szybko z niego wyskoczyła i popędziła do stajni.

Kiedy napełniała wodą miskę Glindy, posłyszała za sobą kroki.

- Jak się dziś czuje pacjentka pani doktor? Zaskoczona Fran drgnęła, a woda omal nie wylała się jej

z miski. Ten aksamitny baryton działał na nią w magiczny sposób.

Książę Maxim stał w drzwiach gabinetu, ubrany w niebieskie dżinsy, białą koszulę i granatowy blezer.

- Coś mi się wydaje, że pani doktor jest dziś trochę płochliwa - zauważył z figlarnym uśmiechem, oparty o framugę. Po chwili wszedł do środka, pochylił się i delikatnie pogłaskał Glindę po głowie.

- A książę jest trochę przebiegły...

- Tylko trochę? - zdziwił się Maxim, spoglądając na nią z ukosa.

- No cóż, chciałam po prostu być uprzejma. Bądź co bądź, jest tu księżę władcą.

- Może niezupełnie. Władcą jest mój ojciec. Ale rozumiem twoje intencje. - Maxim podniósł się i podszedł do niej. W jego oczach migotały wesołe ogniki. - Może pani doktor się boi, że ją zamknę w lochu?

- Niczego się nie boję, wasza wysokość - odparowała Fran, dumnie unosząc głowę. - Nie bałabym się nawet, gdybym została zamknięta zupełnie sama w...

- Kto powiedział, że sama?

Fran poczuła, jak miękną jej kolana. I była na siebie wściekła. Co się z nią dzieje? Dotychczas potrafiła zapanować nad wszystkim, co ją spotykało w życiu, nad każdym uczuciem i każdą potrzebą. Ale tu, w tej baśniowej krainie, u boku tego księcia jak z bajki, nagle zrozumiała, że jest tylko kobietą taką jak inne.

- Wobec tego - odezwał się Maxim - może byśmy zjedli razem lunch?

- Myślę, że Glinda podzieli się ze mną miską tego smakowitego dania - odparła Fran, zerkając na charcicę.

- Wygląda na to, że Charlie przyrządził jej pyszny obiad - zauważył z uznaniem Maxim.

- Tak. Przed chwilą go przyniósł.

- Marchewka, kurczak - stwierdził z aprobatą Maxim, zaglądając do miski.

- Pachnie cudownie.

- I jeszcze wątróbka.

- No, może jednak zostawię Glindzie te przysmaki - zaśmiała się Fran.

- Wobec tego, co byś powiedziała na sery, świeżo pieczony chleb i wędzone ostrygi, z których słynie Llandaron? Pani doktor, cały ranek spędziła pani z Glindą. Czy psina nie może zostać na trochę sama?

- Myślę, że może. Ale, szczerze mówiąc, muszę nadrobić zaległości w lekturze. Przywiozłam ze sobą bardzo ciekawą książkę o kokcydiozie u psów.

- Ha, widzę, że z takimi atrakcjami nie będę w stanie konkurować - odparł Maxim z udaną powagą. - Ja mogę ci tylko zaproponować małą wycieczkę po Llandaronie, może na przykład piknik na plaży, a potem, gdybyś chciała, zajrzelibyśmy do sklepu Gershina, gdzie na miejscu wyrabiają cukierki toffi.

Fran poczuła, jak ślinka jej napływa do ust. Czytała o nim w swoim przewodniku i widziała nawet zdjęcie. Ten sklepik w małym domku z czerwonej cegły, z oknami o białych framugach, wyglądał jak żywcem wzięty z bajki.

- Miałabyś ochotę?

Fran westchnęła głęboko. Czowała się zagubiona, pokonana. Miała wrażenie, że padła ofiarą jakiegoś spisku czy kaprysu losu, który zmusza ją, by z rozsądnej i realistycznie myślącej pani doktor Elf przemieniła się niepoprawną marzycielką.

Oczywiście, że miałaby ochotę na to, co jej proponował książę z bajki. Jednocześnie zdawała sobie sprawę z ryzyka. Gdy tylko była blisko niego, czuła, że jest o krok od utraty panowania nad sobą i że on coraz bardziej ją pociąga Jak, u licha, nad tym zapanować? Może powinna sobie przypomnieć swoje ostatnie doświadczenie, kiedy to facet prawiący słodkie słówka złamał jej serce?

Spojrzała prosto w roziskrzone, ciemnoniebieskie oczy Maxima i odparła stanowczo:

- Nie, myślę, że nie miałabym ochoty.

- Coś mi mówi, że pani doktor za wiele myśli. Usłyszawszy tę trafną uwagę, Fran spuściła wzrok i udała, że zajmuje się Glindą. Jednak mimo wszystko ciekawość wzięła w niej górę.

- Czy mogę spytać, po co księżę zadaje sobie tyle trudu? Nie jestem tu przecież gościem, lecz zwykłym pracownikiem. Przecież ma pan z pewnością coś lepszego do roboty?

- Zawsze mam coś do roboty - odparł cierpko. - Podobnie jak ty, mógłbym pracować na okrągło.

Fran, aby się czymś zająć, wzięła nieopróznioną jeszcze przez Glindę miskę z wodą i wylała jej zawartość do umywalki.

- A jeśli Glinda będzie czegoś potrzebowała?

- Poproszę Charliego, żeby zadzwonił do mnie na telefon komórkowy, gdyby był jakiś problem. - Jak każdy szanujący się perfekcjonista, na wszystko miał od razu odpowiedź. - Ale niczego takiego nie przewiduję - ciągnął dalej. - Poród ma nastąpić za tydzień, prawda?

- Prawda, ale...

- Nie ma żadnego „ale”. To tylko parę godzin.

Fran przygryzła wargę i naląła świeżej wody do miski. Maxim najwyraźniej nie przejmował się jej odmową. Poza tym, szczerze mówiąc, wcale nie pragnęła mu odmówić.

- Francesco, przybyłaś do zaczarowanej krainy. Sama mówiłaś, że człowiek powinien mieć wolność wyboru. Więc dokonaj tego wyboru, postanów sobie, że chcesz tu spędzić miłe chwile, choć raz pójdz na całego, nie uciekaj.

- Posłuchaj, Maximie - odparła Fran, stawiając miskę przed psem - pozwól, że ci coś powiem: ja nie zwykłam uciekać...

- Miło mi to słyszeć - wtrącił Maxim z łobuzerskim uśmiechem i, niczym bohater historycznego romansu, podał jej usłużnie ramię. - Mam już w samochodzie wszystko, co trzeba. Idziemy?

Fran nie mogła się wprost doczekać tej eskapady, z trudem wytrzymała, żeby nie wykrzyknąć z radości, ale za żadne skarby nie chciała dać tego po sobie poznać, Maxim i tak miał już nad nią za dużą władzę. Rzuciła mu więc pełne rezygnacji spojrzenie i mruknęła pod nosem, udając że zgadza się wbrew własnej woli:

- Ach, ci królowie i książęta! Zawsze muszą postawić na swoim.

Parkując samochód Maxim pomyślał, że aby uwieść Francescę Elf, musi najpierw zabrać jej te specjalne okulary na podczerwień, z których była taka dumna. Wtedy będzie mogła ujrzeć tę piękną wyspę i jej mieszkańców we właściwym świetle.

Limuzynę zostawił w domu, a na tę krótką, nieformalną przejażdżkę wybrał dla wygody stary model mustanga w pięknym, wiśniowym kolorze. Kilka lat temu Maxim poświęcił całe lato na doprowadzenie tego wyjątkowego samochodu do stanu dawnej świetności. Nigdy nie woził nim żadnej kobiety. Ten kabriolet forda mustanga rocznik 1965 był nieomal świętością. Ale ponieważ ta piękna Amerykanka miała go uratować od ponurej przyszłości, dla niej jednej postanowił zrobić wyjątek.

Musiał przyznać, że pani doktor prezentuje się znakomicie w otwartym wozie, z pasmami złocistych włosów powiewających w słonej bryzie.

Gdy Maxim zgasił silnik, wysiadł i otworzył jej drzwi, Fran zapytała:

- Czy nie potrzebujesz ochroniarzy?

- Ależ oni tu są.

- Gdzie?

- Trzymają się w pewnej odległości, zgodnie z moim poleceniem.

- Aha. To znaczy - powiedziała, stając na chodniku - że ty chronisz samego siebie. A może także każdego, kto ci towarzyszy?

- Oni ochraniają mnie, a ja ciebie - odparł Maxim i znowu podał jej ramię.

- To dlaczego nie czuję się z tobą bezpiecznie? - mruknęła pod nosem Fran, biorąc go pod rękę.

W centrum miasteczka, w otoczeniu sklepów, małych, przytulnych hotelików i powozów dla turystów, trudno było nie zauważyć księcia i jego towarzyski. I o to właśnie Malinowi chodziło, żeby wieści o tej wspólnej wyprawie dotarły do jego ojca.

Ale nikt się im specjalnie nie przyglądał. Mieszkańcy byli przyzwyczajeni do jego widoku, często bowiem tu przyjeżdżał, czasem na kufel piwa w pubie. Lubił towarzystwo miejscowych ludzi, chętnie wdawał się z nimi w pogawędki i wtedy czuł się chociaż trochę wolny. Tak bardzo pragnął swobody...

- Często tu bywasz, prawda? - szepnęła do niego Fran.

- Tu właśnie czuję, że żyję, Francesco.

- Nie ma tu zamków, służących, dworskiej etykiety, królewskich dekretów...

- Właśnie. - Mówiąc to ujął jej dłoń w swoją i z zadowoleniem zobaczył, że kilku przechodniów skierowało na nich wzrok.

Fran oblała się delikatnym rumieńcem. Odchrząknęła i powiedziała półgłosem:

- Widzę, że tutejsi ludzie cieszą się na twój widok. Pewnie bardzo cenią monarchię i rodzinę królewską.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo.

Tuż obok nich siwowłosa handlarka owocami, która nagle spostrzegła Maxima, z wrażenia upuściła skrzynkę z jabłkami. Niewiele myśląc, Maxim na czworakach zaczął zbierać pachnące, rumiane owoce. Może jednak nie wszyscy mieszkańcy do końca oswoili się z jego widokiem, pomyślał. A może ta staruszka po prostu była zaskoczona, widząc go w towarzystwie nieznanej kobiety.

- Och, wasza wysokość... doprawdy... proszę się nie trudzić - wyjąkała speszona handlarka.

- Ależ to nic takiego. - Szybko i sprawnie Maxim nappełnił skrzynkę jabłkami. Kobieta dziękowała mu wylewnie, podczas gdy gapie, którzy przystanęli wokół nich, szeptali między sobą.

Maxim i Fran ruszyli dalej główną ulicą i po chwili znaleźli się przed sklepem Gershina, który w rzeczywistości wyglądał jeszcze ładniej, niż na zdjęciu w przewodniku.

- Muszę tu koniecznie wejść - zawołała Fran - i zobaczyć, **jak** się robi te pyszne cukierki.

Maxim, który został przed sklepem, widział przez szybę, jak Fran, żywo gestykułując i śmiejąc się jak rozbawione dziecko, przygląda się pracy dwóch młodych kobiet i z nimi rozmawia.

- Kim jest ta dziewczyna, książę?

Maxim obejrzał się przez ramię i ujrzał przed sobą Ranena Turka, jak zwykle odzianego w coś, co przypominało zwykle szmaty. Ten zbliżający się do siedemdziesiątki przyjaciel jego ojca mógł bez trudu pozwolić sobie na jedwabne koszule i piękną posiadłość nad samym morzem, ale wolał nosić ubrania z ręcznie tkanej bawełny i mieszkać w starym domu z czerwonej cegły w środku miasta.

- To lekarka weterynarii. Przyjechała do nas z Ameryki - wyjaśnił Maxim.

Gdy obaj odeszli kilka kroków od sklepu, Ranen zatrzymał się i spojrzał na Maxima przez zmrużone oczy.

- Przywiozłeś ją do miasta? O ile mi wiadomo, nigdy dotąd nie przyjeżdżałeś tu z kobietami.

- Ona opiekuje się naszą charcicą. Jak wiesz, Glinda niedługo będzie rodzić.

- Ślicznotka z tej pani doktor - zachichotał starszy pan.

- Trudno mi się z tobą nie zgodzić - odparł z rozbawieniem Maxim.

- Ale mnie się nie podoba - oznajmił cierpko Ranen. - Nie lubię Amerykanów. - Mówiąc to, zdjął beret z pomponikiem i trzepnął nim o kolano, wzbijając obłoczek kurzu. - Poza tym, trochę mi przykro, że nie macie do mnie zaufania - pokręcił ze smutkiem głową. - Po co sprowadziliście do waszej charcicy tę cudzoziemkę aż z Ameryki?

- Król życzył sobie, żeby nad Glindą czuwał specjalista, i ty świetnie o tym wiesz.

- Ależ ja jestem specjalistą.

- Od świń, koni, kóz i kur - uśmiechnął się Maxim.

- Bzdury pleciesz - odburknął Ranen. - I mówię ci, że nie podoba mi się...

- Popatrz, dali nam całą torbę toffi! - wykrzyknęła uszczęśliwiona Fran, wybiegając ze sklepu z błyszczącymi oczami. - Nauczyli mnie, jak się je robi i trochę im pomogłam. Normalnie nie zajadam się słodyczami, ale właściciele byli tacy mili, a te cukierki naprawdę są przepyszne, więc nie mogłam...

Ranen chrząknął głośno i Francesca nagle spostrzegła, że Maxim nie jest sam.

- Bardzo przepraszam. Zachowałam się niegrzecznie - uśmiechnęła się do nieznanego mężczyzny, z którym rozmawiał Maxim. - Dzień dobry panu. Mam na imię Fran.

Ranen westchnął, przewracając oczami.

- Francesco - odezwał się szybko Maxim, ratując sytuację - to jest Ranen Turk, miejscowy weterynarz.

- Opiekun zwierząt - poprawił go Ranen. - Wszystkich, jak się wydaje, z wyjątkiem psów. Nie jestem prawdziwym lekarzem, jak pani, tylko samoukiem.

- Uważam, że życie jest najlepszym nauczycielem - powiedziała Francesca podając mu rękę i z entuzjazmem ją ściskając. - Ogromnie się cieszę, że mogę pana poznać.

- Chciałbym móc powiedzieć pani to samo.

- Ranen, do diabła, jak możesz! - wykrzyknął z oburzeniem Maxim.

Spodziewał się, że, słysząc tak obraźliwe słowa, Francesca zarumieni się, nic nie odpowie, może pod jakimś pretekstem wróci do sklepu - byle tylko znaleźć się dalej od tego gbura.

Nic podobnego. Francesca uśmiechnęła się do Ranena i powiedziała:

- Bardzo mi pan przypomina mojego dziadka.

- Niby dlaczego? - zapytał szorstko.

- No cóż, dziadek był przystojny, bardzo inteligentny i kochany, ale - tu Fran zniżyła głos - był też cholernie upierdliwy.

Maxim jęknął i spojrzał spod oka na Ranena, który stał jak zamurowany, z otwartymi ustami, z których nie wydobywał się jednak żaden dźwięk. Po chwili na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

- Może pomyliłem się w tym przypadku, wasza wysokość.

- Dziękuję panu, doktorze Turk - powiedziała Francesca, popatrując na niego z uśmiechem.

Ranen podniósł do góry brew i rzekł:

- Powiedziałem tylko, że może się pomyliłem, panienko. Nie radziłbym tego rozgłaszać.

- Obiecuję, że nikomu nie powtórzę, co pan o mnie sądzi. - wesołe ogniki w jej oczach zgasły na chwilę, gdy zwróciła się do niego z powagą:

- Ma pan z pewnością bardzo wiele zajęć, ale ogromnie bym chciała pogawędzić z panem o tutejszych zwierzętach. Założę się, że wie pan o nich wszystko. - Powiedziawszy to, pochyliła się ku niemu i szepnęła:

- Ma pan bardzo mądre oczy, panie doktorze. Nie wiem czy ktoś już to panu powiedział.

- Tak, wiele razy to słyszałem - odparł Ranen z błyskiem w oku i naciągnął beret na głowę. - Zapraszam panią do siebie na pogawędkę, kiedy znów przyjedzie pani do miasta. -I proszę mi mówić Ranen - dodał, wyciągając do niej kościstą i pobrudzoną czymś rękę.

- A ja jestem Fran - powiedziała, ściskając mu dłoń. Ładna historia, pomyślał Maxim, ten zrzęda zaraz się w niej zakocha.

Fran siedziała z podkulonymi nogami patrząc na fale, które z hukiem tłukły o skalisty brzeg. Spędziła zaledwie parę godzin w pełnym magii miasteczku, ale były to naprawdę cudowne godziny i szkoda, że tak szybko minęły. Spacerując wąskimi uliczkami czuła się tak, jakby miała umysł dorosłej kobiety, ale serce dziecka. Dzisiaj gotowa była uściskać wszystko i wszystkich.

- Dam toffika za twoje myśli.

Fran uśmiechnęła się w odpowiedzi do Maxima, który siedział przy niej na kocu, ale nie odpowiedziała. Usadowili się nieco powyżej prywatnej plaży, na trawie pod starym klonem o bladozielonych, wiosennych jeszcze liściach. Maxim wybrał idealne miejsce na piknik, pomyślała. Jaki spokój i jaki cudowny widok...

- Widzę, że mój ludek już cię polubił - odezwał się Maxim, ogryzając nóżkę kurczęcia.

- Z wzajemnością. Polubiłam zwłaszcza Ranena. Czy utrzymujecie bliskie stosunki?

- Mój ojciec był jedynakiem. Bardzo samotnym, do chwili gdy spotkał Ranena. Ranen zaś od dzieciństwa opiekował się zwierzętami w wiejskich gospodarstwach. Przychodził do pałacu, żeby sprawdzić, jak się czuje chora krowa czy kura, która nie chciała się nieść. Po pracy zostawał trochę z moim ojcem. Polubili się, a z czasem stali się nierozłączni. Jeszcze dziś w każdą niedzielę wieczór grają w karty.

- A kim jest Ranen dla ciebie?

- Dla mnie jest jak najlepszy wujek. Po śmierci mojej mamy pomagał nam wszystkim otrząsnąć się z bólu. To dobry człowiek. Uważamy go za członka rodziny.

Fran korciło, by zapytać o jego matkę, jak zmarła i kiedy, ale powstrzymała się wiedząc, że to nie jej sprawa. Zmieniła więc temat.

- Tutaj jest zupełnie inaczej niż w Los Angeles.

- Co masz na myśli?

- Poza tym, co oczywiste, jak nieskażone środowisko naturalne i brak korków ulicznych, wydaje się, że tutaj wszyscy znają wszystkich i wzajemnie dbają o swoje dobro. Można pomyśleć, że jesteście jak... jak jedna wielka rodzina.

- Mówisz zupełnie jak Catherine.

Francesca poczuła w sercu ukłucie. Zawsze unikała uczucia zazdrości. Maxim zabrał ją na wycieczkę - i to wszystko. Nie miała prawa sobie wyobrazić, że to coś więcej z jego strony. A nawet gdyby jakimś cudem tak było, nie pozwoliłaby sobie ulec takiemu uczuciu. Mimo wszystko musiała się jednak dowiedzieć, kim jest ta kobieta.

- Catherine?

- Moja siostra.

Maxim uśmiechnął się szelmowsko, widząc jak Fran mimo woli wydała ciche westchnienie ulgi

- Więc masz brata i siostrę? - zagadnęła, rumieniąc się.

- Tak.

- Czy oni tu mieszkają?

- Brat z żoną mieszkają na zamku, ale obecnie bawią w Japonii.

- Zwiedzają kraj?

- Składają wizytę cesarzowi. Siostra odwiedza teraz szpitale i zbiera fundusze na różne akcje charytatywne.

- Jest bardzo przebojowa?

- Nie masz pojęcia, jak bardzo - roześmiał się Maxim.

- Chciałabym ją poznać.

- Wiem, że Catherine ma na początku lata odwiedzić Kalifornię - powiedział Maxim, ocierając usta serwetką z wyhaftowanym królewskim herbem. - Może wtedy.

- Może. - Serce ją zabolalo na myśl, że będzie musiała niedługo opuścić Llandaron. Nagle straciła apetyt, odłożyła pasztecik z pikantnym farszem i cichutko westchnęła. Chyba straciła rozum. A może ta wyspa i ten urodziwy książę rzucili na nią urok?

- Myślisz o Darrenie?

- Mój przyjaciel ma na imię Dennis - poprawiła go sucho.

- Ach prawda.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to myślałam właśnie o twoim kraju. Jego piękno zapiera dech. Chyba o tym wiesz?

- Tak, wiem - odrzekł, spoglądając wymownie na jej usta.

Fran starała się nie dać po sobie poznać, jak bardzo zmieszało ją to spojrzenie. Przecież wkrótce ma wyjść za mąż za Dennisa, a Maxim jest księciem, a nie zwykłym śmiertelnikiem jak ona. Gdyby tylko mogła, rozpedziłyby na cztery wiały te niewczesne myśli.

- Chyba powinniśmy już wracać - rzuciła wbrew sobie. Maxim nawet nie drgnął.

- Francesco, czy całowałaś się z tym Derekiem?

- Już ci mówiłam, on ma na imię Dennis - odpowiedziała **surowo**.

Maxim spojrzał jej głęboko w oczy, jakby szukał w nich odpowiedzi.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

- Bo to nie twoja sprawa.

- To prawda.

- Naprawdę, powinniśmy już się zbierać i...

Nie udało się jej skończyć zdania, nagle bowiem już nie siedziała, a leżała na szorstkim kocu, Maxim zaś klęczał obok i pochylał nad nią głowę. Spojrzała w jego chabrowe oczy i zadrżała, a on musnął wargami jej usta i zaczął delikatnie całować. Fran zdała sobie sprawę, że pragnie tych pocałunków jak niczego innego na świecie. Otoczyła ramionami jego szyję i westchnęła z rozkoszy.

Maxim podniósł na chwilę głowę i Fran poczuła na sobie jego palący wzrok.

- Chciałem cię pocałować, kiedy tylko po raz pierwszy cię ujrzałem - wyznał.

- Muszę przyznać, że ja też tego pragnęłam - odpowiedziała Fran drżącym głosem.

Pragnęła go mocno, całą sobą, ale wiedziała przecież, że on nie jest dla niej. Maxim jest prawdziwym księciem, który będzie z czasem władał swoim krajem, a ona koronę miała na sobie tylko raz w życiu, i to z tektury, na przyjęciu urodzinowym, gdy była jeszcze małą dziewczynką. Wszystko ich przecież dzieli. Miejsce Fran jest w Los Angeles, w klinice, u boku Dennisa.

- Maxim, nie mogę już więcej przebywać w twoim towarzystwie - szepnęła i spojrzała na niego ze smutkiem.

- Dlaczego?

- Sam wiesz, dlaczego - odrzekła. - Przez następne dwa tygodnie, do czasu mojego wyjazdu, muszę się trzymać z dala od ciebie.

- Dwa tygodnie - powtórzył, uśmiechając się do niej zmysłowo. - Chyba żartujesz, nie wytrzymamy bez siebie nawet dwóch dni.

Fran wydała cichy okrzyk, kiedy nagle rozległ się dzwonek telefonu. Maxim sięgnął do kieszeni w kurtce i wyciągnął komórkę.

- Co takiego? - zapytał. - Aha, dobrze, zaraz tam będziemy.

- Co się stało? - zagadnęła Fran, zaniepokojona przebiegiem tej krótkiej rozmowy.

- Musimy wracać. Glinda zaczęła rodzić.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zegar ścienny w stajni wybił właśnie północ, kiedy Maxim, objuczony stosem koców i poduszek elektrycznych, szedł korytarzem prowadzącym do swego gabinetu, który Francesca nazwała teraz psią porodówką.

To, co Charlie uznał przed kilkoma godzinami za początek porodu, jeszcze nim nie było, Glinda mościła się dopiero na swoim posłaniu. Stajenny słusznie jednak uczynił, przerywając ich uroczą randkę na plaży. Ten gorący pocałunek z pewnością nie był ostatni.

Stanąwszy w drzwiach, Maxim nie mógł oderwać oczu od zgrabnej kobiecej sylwetki Fran, która siedziała po turecku na podłodze przy kojcu dla psów. Wyglądała tak ponętnie, że omal nie porzucił swego ładunku i nie wziął jej w ramiona. Wciąż pamiętał aksamitny dotyk jej pełnych, pięknie wykrojonych warg.

Spod okna dobiegło Maxima głośne chrapnięcie. To jego ojciec, który siedział w fotelu z głową odrzuconą do tyłu, zapadł w drzemkę. Na jego widok Maxim powrócił do rzeczywistości i podjął swoje zadania asystenta pani doktor. Przed paroma godzinami Fran powiedziała mu, że może spokojnie iść spać, bo ona sobie ze wszystkim bez trudu poradzi, ale Maxim uparł się, że zostanie. Chciał po prostu być przy niej i przyglądać się jej pracy.

Podszedł do niej i szepnął:

- Jak ona się miewa?

- Od czasu do czasu bardzo się napręża. Spadła jej temperatura, więc sądzę, że niedługo zacznie rodzić.

Glinda sprawiała wrażenie niespokojnej i zagubionej, ale widać było, że pociesza ją obecność Fran u jej boku. Francesca założyła lśniące złote

włosy za uszy, zakasała rękawy bluzki i pochyliła się nad charcicą, pogłaskała ją po brzuchu, i cicho, kojąco zapewniała ją, że wszystko będzie dobrze, że jej dzieci wkrótce przyjdą na świat i że na pewno będzie dla nich wspaniałą matką.

- Czy spodziewasz się komplikacji? - zagadnął Maxim, kucając przy niej.

Fran zdjęła rękę z brzucha Glindy i odpowiedziała:

- Na tym polega moja praca, że muszę się zawsze wszystkiego spodziewać. Zwłaszcza w przypadku psów jej rasy.

- Czy w wielu porodach musiałaś interweniować?

- Tylko wtedy, kiedy pojawił się jakiś problem i matka nie mogła sama sobie poradzić. - Fran podniosła ręce i poruszała palcami. - Nie martw się, na wypadek, gdyby tak się zdarzyło, król zaangażował parę rąk, które będą wiedziały, co zrobić.

- Tak, wiem - Pod wpływem impulsu Maxim wyciągnął dłoń i splótł jej palce ze swoimi. -I które na dodatek są bardzo piękne.

Fran spojrzała na niego przelotnie, ale zaraz potem odwróciła wzrok, nie chcąc, by dostrzegł w jej oczach ogniki namiętności, i szybkim ruchem cofnęła dłoń. W tej chwili charcicą wstała, wyszła z kojca, w którym miała posłanie i przeszła się po pokoju, po czym wróciła na miejsce i znów się położyła. Oddech miała przyspieszony i można było odnieść wrażenie, że coś jej dolega. Nagle wydała z siebie cichy skowyt.

Dźwięk ten dotarł do króla, który ocknął się z drzemki i zapytał z troską:

- Jak ona się czuje, pani doktor?

- Znowu się naprężyła, wasza królewska mość. Ale na razie wszystko jest w porządku.

Przez następnych kilka minut Glinda ciężko dyszała, wierciła się niespokojnie, to wstawiała, to znów się kładła. W końcu przez dolną część jej ciała przeszedł skurcz.

- No, zaczyna się - odezwała się spokojnie Francesca. -Damy jej teraz dużo miejsca, będziemy się zachowywali cicho i spokojnie, tak by jej nie przeszkadzać. Zobaczymy, czy sama sobie poradzi.

Maxim usiadł na podłodze obok fotela ojca. Niejeden raz był świadkiem, jak rodziły się źrebaki i cielęta, ale ten widok zawsze go zdumiewał. Zastanawiał się w tej chwili, czy kiedyś także on będzie uczestniczył w cudzie stworzenia nowego życia.

Zaraz jednak skupił znów uwagę na Glindzie, która parła, odpoczywała i znów parła, aż wreszcie ukazało się pierwsze szczeniátko.

- Idealna pozycja - oznajmiła Fran, po czym zwróciła się znów do charcicy i szepnęła:

- Świetnie sobie radzisz, moja miła.

Gdy tylko malec osłonięty łożyskiem znalazł się cały na pościeli, Fran upewniła się, że piesek oddycha, a następnie położyła go przed Glindą. Młoda mama od razu zabrała się do uwalniania go z łożyska i energicznie wylizowała jego różowy pyszczek.

- To suczka - poinformowała Fran króla, spoglądając na niego przez ramię.

- Jest... śliczna - odparł z podziwem król.

Mniej więcej po dwudziestu minutach znowu przysły skurcze. Niedługo potem urodziło się drugie szczeniátko, po pół godzinie trzecie, a potem czwarte i piąte. Trzy pieski i dwie suczki, wszystkie o szarej sierści swojej matki i wszystkie zdrowe. Fran zajmowała się wszystkimi tak czule, jak pierwszym.

Glinda była już wyraźnie zmęczona, kiedy Fran szepnęła do niej z zachętą w głosie:

- No, jeszcze jeden, staruszeko.

Po pół godzinie znów przyszedł skurcze, ale tym razem, po kilku próbach parcia, wydawało się, że charcicy brak już sił. Ukazała się główka malutkiego pieska, i to wszystko.

Glinda z lękiem podniosła oczy na Francescę.

W pokoju wyczuwało się nerwowe napięcie.

Ale, zgodnie z zapowiedzią, pani doktor była przygotowana. Położyła rękę na brzuchu charcicy i ucisnęła.

- Co robisz? - zagadnął ją Maxim.

- Glinda jest już bardzo zmęczona. Próbuje troszkę pomóc naturze. - Bardzo ostrożnie zaczęła ugniatać brzuch psa, wciąż czule do niego przemawiając.

Maxim z- przyglądał się z ulgą i podziwem, jak charcica **stara** się zrozumieć, czego się od niej oczekuje i wypchnąć na świat ostatnie szczeniátko. Gdy się jej to udało, wszyscy westchnęli z ulgą. Kiedy jednak Francesca otworzyła łożysko i wyjęła maleństwo, okazało się, że uspokojenie przyszło przedwcześnie.

Szczenie było różowe, ale zupełnie bezwładne. Maxim zobaczył, że Francesca w pośpiechu chwyta gorący ręcznik.

- Co się dzieje? - zapytał z niepokojem.

- Malec nie oddycha.

Trzymając delikatnie szczeniátko, Fran starała się wyjaśnić zdezorientowanej Glindzie, co musi teraz zrobić. Najpierw wyczyściła mu strzykawką nozdrza, a potem przez ręcznik zaczęła masować brzusek i grzbiet.

Maxim z zapartym tchem obserwował jej zabiegi. Nigdy nie widział, by ktoś był równie skoncentrowany, jak ona. Ruchy miała pewne, a głos spokojny, kiedy starała się skłonić pieska, by zaczął oddychać. Doprawdy, wprowadziła go w podziw.

Po chwili ogromnego napięcia maluch otworzył pyszczek i ze świstem nabrał powietrza. Francesca nie przestała go masować i czule do niego przemawiać. Malec zaczął piszczeć, jakby chciał jej odpowiedzieć. W końcu Fran położyła go przy matce i nakierowała pyszczek na matczyne sutki. Wszyscy z radością obserwowali, jak noworodek zaczyna ssać.

- Zasłużyła pani na medal, pani doktor - odezwał się król i głęboko westchnął. - Bardzo pani dziękuję. A już się bałem, że on nie przeżyje.

- Jednak okazał się silniejszy, niż sądziliśmy - odparła z uśmiechem Fran.

Maxim wciąż nie mógł oderwać od niej oczu. Była taka śliczna. A także inteligentna i nieustraszona.

- Uratowałaś mu życie, Francesco - powiedział ze wzruszeniem w głosie.

- Robiłam tylko to, co do mnie należy - odparła, czując, że płoną jej policzki.

- Zrobiłaś znacznie więcej - powiedział z naciskiem Maxim. **I**

- To prawda - potwierdził król, wstając z fotela. - Proszę mnie zawiadomić, gdyby pojawiły się jakieś problemy, pani doktor. I jeszcze raz bardzo dziękuję. A teraz już się pożegnaj - dodał, skłaniając głowę i spoglądając jeszcze raz na Glinde i jej nowo narodzone dzieci. - Życzę dobrej nocy.

- Dobranoc, wasza królewska mość.

- Dobranoc, ojczy.

Kiedy król zamknął za sobą drzwi, Maxim pochylił się i odgarnął pasmo włosów z policzka Franceski.

- Widzę, że wcale nie przesadzałaś, mówiąc, że nawiązujesz szczególny kontakt ze zwierzętami.

Fran uśmiechnęła się tylko, po czym jeszcze raz przykucnęła przy Glindzie i jej małych.

Maxima nie zraziła rezerwa w jej zachowaniu. Wiedział, że pod tą chłodną fasadą kryje się ogień. Im dłużej przebywał w jej towarzystwie, tym bardziej był nią zafascynowany. I postanowił zburzyć ten mur, jaki Fran wokół siebie wzniosła, zmusić ją, by przestała go unikać.

Nieco później Fran postawiła przed Glinda miskę z wodą i drugą z twarogiem, ale charcica nie chciała jeść ani pić, leżała zupełnie bez ruchu w swoim kojcu. Francesca wciąż czuwała, gotowa interweniować w razie potrzeby, chociaż była prawie pewna, że nic takiego się nie wydarzy.

Dochodziła czwarta nad ranem. Prawie wszyscy już spali, włącznie z noworodkami. Glinda ziewnęła szeroko, po czym zamknęła oczy, znów je otworzyła i znów przymknęła. Widać było, że i ją morzy sen, któremu wreszcie uległa.

- Jak się czuje nasz mały szczęściarz?

Francesce serce zabiło mocniej na dźwięk jego głosu. Podrosła głowę i ujrzała Maxima, który pojawił się w drzwiach z dużą papierową torbą w ręku.

- Myślę, że wszystko jest w najlepszym porządku - odparła.

Nie mogła na niego nie spojrzeć. Miał teraz na sobie spłowiełe dzinsy i luźną, bładoniebieską koszulę. Wprawdzie powiedziała mu na plaży, że nie powinni się już więcej widywać, ale wiedziała już, że to wszystko nie jest

takie proste. Maxim sprawił, że nieomal zapomniała o Dennisie, o swojej przeszłości, o rzeczywistości. Bardzo ją to zaniepokoiło.

- Czemu nie jesteś w łóżku? - zagadnęła.

- Nie jestem jeszcze gotów - odparł Maxim z przekornym uśmiechem.

- Na pewno nie w tej chwili... Przyniosłem ci kolację.

- Dziękuję, ale nie jestem głodna - Rzeczywiście, nie miała w tej chwili apetytu, w każdym razie nie na jedzenie. Była zmęczona

- Musisz coś zjeść.

- Jest już za późno, a poza tym...

Maxim wyciągnął rękę, aby pomóc jej wstać.

- To nie jest propozycja, pani doktor.

- Słucham?

- To jest rozkaz.

- Czyżby?

- Tak jest.

- Sam wiesz, że jestem Amerykanką. Nie masz nade mną władzy - oznajmiła hardo, świetnie wiedząc, że kłamie jak z nut. Kogo właściwie chce oszukać? Maxim bez wątpienia zyskał nad nią władzę. I ona musi się spod tej władzy uwolnić, aby móc potem wyjechać z Llandaronu, zachowując przynajmniej resztki godności i szacunku do siebie samej.

- Może nie mam takiej władzy w Stanach Zjednoczonych - powiedział Maxim, spoglądając jej prosto w oczy - ale dopóki przebywasz w Llandaronie...

- Jesteś moim panem i władcą?

- Miałem zamiar powiedzieć „szefem”, ale twoje określenie bardziej mi się podoba.

Ujął ją za rękę i pomógł jej wstać. Przez chwilę stali blisko siebie. Fran znów poczuła, jak bardzo jest pod jego urokiem. Wiedziała, że musi z tym walczyć, nie może pozwolić, by zawładnął nią bez reszty. Chciała się od niego odsunąć, lecz to on odsunął się pierwszy.

Może potraktował poważnie jej oświadczenie, że nie powinni się spotykać. Na myśl o tym Fran poczuła niepokój w sercu.

A może zniechęcił go tamten pocałunek na plaży? Jej niepokój jeszcze się pogłębił.

Maxim zaprowadził ją do czystego boksu obok gabinetu, z którego usłyszeliby na pewno, gdyby Glinda czegoś potrzebowała, a zarazem nie przeszkadzaliby jej i małym pieskom. Maxim wyjął z torby kanapkę z rostbefem, winogrona i butelkę wody mineralnej.

Fran opadła na słodko pachnące siano i sięgnęła po apetyczną kanapkę, którą jej podał.

- Za często razem jadamy, wasza wysokość.

Maxim wzruszył ramionami i odwinął drugą kanapkę, w której od razu zatopił zęby.

- Lubię twoje towarzystwo - rzucił.

Jej towarzystwo? Czy to znaczy, że on żywi dla niej tylko przyjacielskie uczucia? Może wydała mu się mniej pociągająca po pierwszym pocałunku? Jeśli tak, to rozsądek jej podpowiadał, że powinna być z tego zadowolona. Serce zaś mówiło coś zupełnie odwrotnego. Ale Fran nie śmiała pragnąć Maxima. Mimo że jest taki przystojny, inteligentny i pełen humoru, taki wymarzony... Za wysokie progi - pomyślała, już nie po raz pierwszy, i zmieniła temat na bezpieczniejszy.

- Jakie to uczucie być księciem?

- Fantastyczne, męczące, pouczające i rozczarowujące.

- To znaczy, że są blaski i cienie?

- Szczerze mówiąc, Francesco, uważam się za szczęśliwca, mając to wszystko, co mam. Ale kiedy w grę wchodzi obowiązki, wtedy wszystko staje się... powiedzmy, nieco trudniejsze.

Francesca zjadła kanapkę i sięgnęła po bladezielone, soczyste winogrona.

- Nieco trudniejsze wtedy, kiedy trzeba uczestniczyć w przyjęciach i oficjalnych ceremoniach, chrzcic wodowane statki i tak dalej, czy kiedy należy poślubić duńską księżniczkę o końskiej twarzy?

- No cóż - odparł po chwili. - Miałem na myśli to drugie.

- Naprawdę? Czy jesteś zaręczony? - zapytała Fran, z lękiem oczekując odpowiedzi. Właściwie dlaczego z lękiem? Przecież ona sama też była praktycznie zaręczona...

- Nie jestem ani też nic podobnego się nie zapowiada - odparł Maxim stanowczo. - Powiedziałem ojcu, że poślubię tylko tę kobietę, którą sam sobie wybiorę, jeśli w ogóle zdecyduję się na małżeństwo.

- Czyżbyś nie wierzył w tę instytucję?

- Wierzę w wolność, Francesco. I jeszcze nie odkryłem, jak można ją pogodzić z małżeństwem.

Słowa Maxima zasmuciły ją, ale rozumiała jego obawy.

- Wiesz - powiedziała - kiedy miałam dziewięć lat, znalazłam na podwórku ptaszka. Nie był specjalnie urodziwy, taki jakiś bury, ze zmierzwionymi piórkami i okaleczoną nóżką. Właśnie karmiłam króliki, kiedy nadleciał i usiadł tuż obok mojej ręki. W ogóle się mnie nie bał. Właściwie nic mu nie dolegało. Może po prostu był głodny albo zmęczony. Ogromnie go polubiłam, nazwałam go Oscar. Mieszkał u nas jakieś trzy miesiące, i pewnego dnia nagle odleciał.

Fran spojrzała na Maxima, uśmiechnęła się i rozłożyła ręce.

Maxim odwzajemnił jej uśmiech.

- Jaki morał wynika z tej opowieści?

- Że wolność i niewola nie idą w parze.

Przez chwilę oboje siedzieli w milczeniu. W pewnej chwili Fran poczuła jak, pewnie za sprawą nieprzespanej nocy, oczy zamykają się jej ze zmęczenia. Nie mogła powstrzymać ziewnięcia.

- Jesteś zmęczona? - zagadnął Maxim.

- Tak, padam z nóg.

Maxim zapakował resztki jedzenia i wyrzucił je do pojemnika na śmiecie.

- Odprowadzę cię na zamek.

- O nie - pokręciła głową Fran. - Zostanę tu na noc.

- Tu? To znaczy gdzie?

- Myślę, że na tym wygodnym sianku. Zawsze marzyłam, żeby się przespać na sianie.

- Nie idealizuj takiego spania, Francesco. Wiele razy tego próbowałem. Może to romantyczne, ale wierz mi, że bardzo niewygodne.

- Spałeś kiedyś na sianie?

- Tak, kiedy byłem mały.

- Dlaczego?

- Bo to było troszkę tak, jakbym uciekł z domu.

- Aha, rozumiem: dążenie do wolności - odparła Fran i uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Właśnie, do wolności - potwierdził Maxim, a w jego oczach zatańczyły wesołe iskierki.

- Lepiej, żebym się teraz trochę przespała - powiedziała trzeźwo Fran.

- Tylko patrzeć, jak małe się obudzą i będę musiała do nich pójść.

Maxim wyszedł bez słowa z boksu i po chwili wrócił z kraciastym wełnianym kocem.

- Dziękuję, ale niepotrzebnie się fatygowałeś. Noc jest ciepła, chyba nie będę go potrzebować - odezwała się Fran, z trudem unosząc ciężkie powieki.

- Ale ja będę - odparł Maxim, który nie wiedząc kiedy położył się na sianie, podłożył sobie ręce pod głowę i zamknął oczy. - Dobranoc, pani doktor.

Fran zatrzepotało serce.

- Co to ma znaczyć, wasza wysokość?

- Nie zostawię cię tu samej.

- A to dlaczego? Czy zjawią się tu może jakieś wilkołaki i pożrą niewinną lekarzkę z Ameryki?

- Nie, to będą prawdziwe wilki - powiedział Maxim, otwierając oczy i groźnie na nią popatrując.

Zafrasowana Fran westchnęła głęboko. Przecież za nic w świecie nie uda się jej nawet na chwilę zdrzemnąć przy tym mężczyźnie, który tak bardzo się jej podoba.

- Ależ księżę, doprawdy, nie ma mowy, żebym...

Maxim przyciągnął ją do siebie i ułożył jej głowę w zagięciu swego ramienia, cmoknął ją w czoło i, zanim zdołała złapać oddech, powiedział:

- Niech pani doktor będzie uprzejma leżeć spokojnie i nic nie mówić. Oboje jesteśmy zmordowani. Spróbujmy trochę pospać.

Pospać? On chyba żartuje...

- Czy są jeszcze jakieś inne rozkazy?

- Sza! Pozwólmy spać ludziom i zwierzętom.

Fran zrozumiała, że próżno z nim dyskutować. Mruknęła coś pod nosem, cicho westchnęła i przymknęła oczy. Po chwili, ukołyszana równym oddechem Maxima i słodkim zapachem siana, odpłynęła w głęboki sen.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Maxim wstał ostrożnie, żeby nie obudzić Franceski i wyjrzał przez okno. Ten poranek w Llandaronie, pomyślał, jest tak piękny, jak z obrazu Moneta. Ale artysta nie mógł wiedzieć, że Maxim obudzi się trzymając w ramionach kobietę niezwyklej urody, inaczej byłby ją wkomponował w jedno ze swoich dzieł...

Promień wschodzącego słońca przesunął się właśnie z jej złocistych włosów na twarz, budząc ją delikatnie.

Francesca westchnęła cichutko, przeciągnęła się i uniosła obie ręce dokładnie w chwili, gdy Maxim się nad nią pochylił. Jeszcze w półśnie, objęła go za szyję i wyszeptała jego imię. Maxim nie potrafił się jej oprzeć i pocałował ją w ciepłe, wilgotne usta, które chętnie przyjęły jego spragnione wargi. Ale kiedy położył rękę na jej piersi, Fran nagle znieruchomiała i otworzyła szeroko oczy. Nie dostrzegł w nich namiętności, a jedynie zmieszanie, które szybko przerodziło się w niepokój. Wiedział, że choćby nie wiem jak jej pragnął, musi być cierpliwy.

- Dzień dobry - powitał ją Maxim z uśmiechem.

- Dzień dobry - odrzekła, siadając i zakładając za uszy złote włosy.

- Jak ci się spało?

- Dobrze. Ale teraz muszę sprawdzić, jak sobie radzą maluchy i

Glinda.

- Zgoda. Pozwól tylko, że ci coś powiem. Byłaś naprawdę wspaniała zeszłej nocy. Mam nadzieję, że Donald wie, jaki z niego szczęściarz.

- Na pewno tak - odparła. - Rzeczywiście, dobrze się nam razem pracuje. Ale on ma na imię Dennis. Mówię ci to już ostatni raz.

Maxim nie mógł się na nią napatrzyć. Teraz, kiedy była wzburzona, wyglądała jeszcze piękniej. W obawie, że może zupełnie stracić panowanie nad sobą, powiedział:

- Może rzeczywiście byłoby dobrze, gdybyś poszła teraz do Glindy i jej szczeniąt.

- Czyżby wasza wysokość mnie odprawiał?

- Ależ skąd. Ale na mnie już pora, za godzinę mam samolot.

Wyraźnie zaskoczona, Francesca nie mogła się powstrzymać, żeby nie zapytać:

- Dokąd się wybierasz?

- Do Paryża.

- Och. W interesach czy... dla przyjemności?

- Jedno i drugie - uśmiechnął się tajemniczo. - Będiesz za mną tęsknić?

- Czy nie jesteś za bardzo pewny siebie? - odpowiedziała pytaniem na pytanie i ruszyła do wyjścia na korytarz. Już w drzwiach obejrzała się przez ramię i rzuciła:

- Życzę ci dobrej zabawy.

Składając koc, Maxim pomyślał, że Paryż będzie nudny w porównaniu z atrakcjami, jakie czekały go w Llandaronie. Niestety, wzywały go obowiązki. Ale wróci przecież pod koniec tygodnia i nadal będzie się oddawał rozkosznej przyjemności uwodzenia doktor Franceski Elf.

W interesach czy dla przyjemności, wasza wysokość?

- Ależ ze mnie idiotka - szepnęła do siebie Fran, napełniając wodą miskę Glindy. Jak mogła go o coś takiego zapytać, zupełnie tak, jakby była zazdrosna? A w ogóle, z jakiej racji miała być zazdrosna? Przecież za półtora tygodnia będzie już w Los Angeles, w realnym życiu, wśród

prawdziwych, normalnych ludzi, z dala od pewnego seksownego księcia, który mieszka w morskiej latarni, stara się oczarować każdą kobietę, jaka mu się nawinie i usiłuje stworzyć wrażenie, jakby świat z bajki naprawdę istniał.

Fran przykucnęła przy Glindzie, która, spokojna i zadowolona, odpoczywała ze swymi dziećmi. Ten spokój udzielił się także Fran. Wykonała najważniejszą część swego zadania. Glinda dobrze zniosła poród, odzyskała apetyt i właśnie zjadła dużą porcję jajecznicy i twarogu. Wszystkie szczenięta były zdrowe i z ochotą ssały pokarm swojej mamy, włącznie z tym ostatnim szczęściarzem, którego udało się jej uratować i którego trafnie nazwała Lucky.

Dostała sowite honorarium, które pomoże jej otworzyć własny gabinet. A więc może stąd wyjechać bez żalu.

Mogłaby, gdyby nie Maxim... Ale musi koniecznie zwalczyć w sobie to uczucie fascynacji. Przecież w Los Angeles czeka na nią Dennis, a Fran świetnie już wie, czego można się spodziewać po facetach prawiących słodkie słówka. Poza tym - przecież Maxim jest księciem!

Chwała Bogu, że poleciał do Paryża. Pod jego nieobecność łatwiej jej przyjdzie wytrwać w swoim postanowieniu. Może Maxim przedłuży swój pobyt, a wtedy ona nie zobaczy go już przed wyjazdem.

Wieczorem zadzwoni do Dennisa. Porozmawiają sobie miło i serdecznie. W ciągu następnych dni będzie zajęta przy psiej rodzinie i zapomni o jego książęcej wysokości. W każdym razie, postara się zapomnieć.

- Mają zaledwie pięć dni, a już rosną jak na drożdżach.

Francesca uśmiechnęła się do Ranena Turka, który, zaproszony przez króla, przyszedł na oficjalną kolację na zamku, ale przedtem wstąpił do

stajni, żeby obejrzeć szczenięta. Ten stary zrzęda rzeczywiście przypominał Fran jej dziadka. Na zewnątrz szorstki, ale w środku złote serce.

- Z pewnością nie dają Glindzie ani chwili spokoju - powiedziała.

- Taki już jest los matki, moja panno - pokiwał głową Ranen.

- Matki, która urodziła sześcioraczki.

- Słyszałem, że charty irlandzkie potrafią mieć nawet piętnaścioro albo i więcej małych

- To prawda - potwierdziła. - Więc dla niej sześcioro to jest tak, jak dla kobiety jedno. Jak czy ona nie jest za chuda?

- Nie, dobrze wygląda. Nic jej nie brakuje. - Renan spojrzał bacznie na Fran przez zmrużone oczy. - Ale mam wrażenie, że sama świetnie to wiesz.

- Cóż, chciałam się z tobą skonsultować.

- Czyżby?

- No tak. Czy jest w tym coś złego?

- Nie jestem pewien - odpowiedział, drapiąc się po brodzie. - Będę musiał sprawdzić, czy to zgodne z prawem, by młoda kobieta podlizywała się takiemu staremu capowi jak ja. Fran roześmiała się głośno.

- Jesteś pewien, że nic cię nie łączy z moim dziadkiem? Podobieństwo jest uderzające!

Dobrze było się pośmiać. Ostatnie dni okazały się nieco trudniejsze, niż sobie wyobrażała. Tylko dwukrotnie udało się jej porozmawiać z Dennisem i za każdym razem nie upłynęło pięć minut, a on gdzieś pędził i musiał kończyć. Nękał ją także inny problem: wciąż myślała o Maximie. Może nie byłoby jej tak trudno, gdyby miała więcej pracy i mniej czasu na rozmyślanie.

Niestety, pracy przy Glindzie było niewiele, a wolnego czasu stanowczo za dużo. I nie dość na tym, że Maxim wypełniał jej myśli za dnia,

to jeszcze nawiedzał ją w nocy, w snach, z których budziła się w nadziei, że on już powrócił i jest przy niej.

- Czy wybierasz się wieczorem na kolację?

Fran spojrzała na Ranena, na jego wieczorowy strój i pomyślała, że ten jego sposób lepiej jednak wygląda w swoich ekscentrycznych, zgrzebnych łaszkach, w których mógłby śmiało stanąć do konkursu strzyżenia owiec, niż w przykurzonym smokingu. Tak, Ranen zdecydowanie był indywidualistą, a ona umiała to docenić i serdecznie go polubiła.

- Raczej nie - potrząsnęła w odpowiedzi głową. Tak naprawdę, to jeszcze nie wiedziała, co zrobi.

- A to dlaczego?

- Czuję się trochę niezręcznie. Jestem najzwyklejszą w świecie Fran Elf z południowej Kalifornii. Nie dla mnie królewskie salony.

- Nonsens - odburknął Ranen.

- Poza tym nikogo tam nie znam.

- Pleciesz koszałki opałki - fuknął i pogroził jej palcem. - Przecież znasz jego...

- Tak naprawdę, to nie znam jego królewskiej mości - wpadła mu w słowo Fran.

- Wcale nie jego miałem na myśli, moja panno.

- Ależ jego książęca wysokość jest w Paryżu - bąknęła Fran, która poczuła, jak krew zaczyna jej pulsować w skroniach.

- Nie, właśnie jest w drodze. Dziś rano telefonował do ojca. Powinien być w Llandaronie jeszcze przed nadejściem mgły.

Czyżby Ranen słyszał, jak wali jej serce? W każdym razie, z uwagą się jej przyglądał.

- Czy ta wiadomość wpłynie na zmianę twoich planów co do kolacji?

- Sama nie wiem... - W jej głosie słysząc było niezdecydowanie i brak pewności siebie. Co się właściwie z nią dzieje?

- Powiem któremuś ze służących, żeby po ciebie przyszedł o wpół do ósmej. Król zechce na pewno wznieść toast na twoją cześć i wobec wszystkich gości podziękować ci za troskliwą opiekę nad psią rodziną - mówiąc to, ruszył do wyjścia ze stajni. Już na progu mruknął do siebie:

- No, no, zapowiada się interesujący wieczór.

Francesca wiedziała, że musi podjąć decyzję. Serce mówiło jej jedno, a rozum drugie. Miała tu spędzić jeszcze sześć dni. Czym zdoła wypełnić ten czas, a zwłaszcza wieczory? Lekturą? Kąpielą w gorącej wodzie z lawendową pianką? Rozmowami z Dennisem?

Spojrzała pytająco na Glinę i mogłaby przysiąc, że charcica spojrzała na nią z niepokojem.

- Masz rację, moja miła - uśmiechnęła się do niej Fran.

- Właśnie zamierzam wepchnąć palec między drzwi, a potem będę się dziwić, że boli.

W obszernym salonie jadalnym, w którym rozbrzmiewał gwar ożywionych rozmów, Maxim marzył tylko, by móc się skryć w białej, gęstej mgle, która spowiła właśnie świat za oknami zamku. Ojciec co chwila przedstawiał mu coraz to inną kandydatkę na małżonkę. Trudno to było wytrzymać.

Maxim wychylił duszkiem resztę whisky, która mu została w szklance, ukłonił się grzecznie i przeprosił gadatliwą młodą księżniczkę i jej promieniejącą mamusię. Chciał postać chwilę samotnie przy marmurowym kominku, w którym buzował ogień. Powinien był podejrzewać, że coś się święci, kiedy ojciec powiadomił go, że na tę kolację zaprosił „kilkoro przyjaciół”.

- A gdzie się podziała Francesca?

Pragnął, by była teraz obok niego. Może gdyby zobaczył ją król, zechciałby się zastanowić, jakie mogą być skutki zmuszania syna do małżeństwa, które nie byłoby mu miłe.

Maxim odstawił pustą szklankę. Kogo on chce bujać? Franceskę pragnął widzieć u swego boku nie tylko ze względu na ojca. Przez cały czas pobytu w Paryżu niepodzielnie panowała nad jego myślami. Eleganckie przyjęcia i kobiety, nawał pracy

- wszystko to nie pozwalało mu zapomnieć o Fran. W końcu musiał sobie uświadomić, że jego fascynacji piękną panią doktor z Los Angeles nie da się porównać z niczym, co dotąd przeżył, i że jeśli jej szybko nie zdobędzie, to myśli o niej nie pozwolą mu normalnie funkcjonować. A na to nie chciał ani nie mógł sobie pozwolić.

Pora doprowadzić do końca to, co zaczął. Najwyższy czas uwieść prześliczną Amerykankę.

Tuż za nim kamerdyner oznajmił, że podano do stołu. Coście ruszyli parami i stanęli przy antycznym stole długości dwudziestu metrów. Kilka kobiet spojrzało w jego stronę, w nadziei że księżę koło nich usiądzie. Maxim zaśmiał się cicho pod nosem. Nie miały biedaczki pojęcia, że on zadbał już o to, kto będzie obok niego siedział. Zerknął na zegarek. Naturalnie, jeśli ta, którą wybrał na swoją sąsiadkę przy stole, w ogóle się pojawi.

Ledwie ta myśl przemknęła mu przez głowę, a na sali ucichł gwar rozmów i wszyscy goście z zainteresowaniem zwrócili się w stronę drzwi.

Maxim uświadomił sobie w tym momencie, że te pięć dni dłużyły mu się jak pięć lat i że bardzo się stęsknił za Francescą Elf.

Ona tymczasem wyglądała jak zjawisko, od włosów aż po srebrne sandały z paseczków tak cienkich, że prawie niewidocznych, i blad różowe paznokcie. Seledynowa sukienka z mięsistego jedwabiu na cieniutkich ramiączkach spowijała jej smukłą postać, akcentując krągłości figury tak, jakby gładziła je ręka kochanka. Lekko rozszerzana spódniczka ledwie przykrywała jej kolana i pozwalała podziwiać wspaniale wymodelowane, długie, lekko opalone nogi. Miodowozłociste włosy opadały lśniąco falą na ramiona. Twarz miała jeszcze piękniejszą niż na co dzień, podkreślona bezbłędnym, dyskretnym makijażem, który sprawiał, że jej orzechowe oczy stały się jeszcze większe i bardziej wyraziste a usta jeszcze bardziej różowe i błyszczące. W uszach miała wiszące kolczyki ze srebrnego filigranu.

Wyglądała jak święta, a zarazem jak grzesznica. Nie sposób było nie ulec jej urokowi. Maxim marzył tylko o tym, żeby móc jej dotknąć, pieścić...

Poprawił muszkę i ruszył w jej stronę.

- Wygląda pani olśniewająco, pani doktor.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się do niego. - Czy wolno mi odwzajemnić ten komplement, wasza wysokość?

- Oczywiście, ale pod warunkiem, że na dzisiaj zrezygnujesz z używania tego oficjalnego tytułu. Więc może nazywaj mnie po prostu Maximem? - Po chwili szepnął jej do ucha:

- A jeśli już nie możesz inaczej, to chętnie przystanę nawet na Maksa.

- Zawsze mogę inaczej. - Podniosła wyżej głowę i odsunęła się od niego, wyminęła go i poszła odnaleźć swoje miejsce przy stole.

Maxim odprowadził wzrokiem to nieziemskie zjawisko i stał chwilę bez ruchu, oszołomiony zapachem jej perfum. Wanilia, konwalia i jeszcze coś, zmysłowego, drażniącego, czego nie potrafił nazwać.

Gdy wszyscy odnaleźli swoje wizytówki przy nakryciach, Maxim skierował się do stołu. Wszystkie oczy były na niego zwrócone, gdy udawał, że szuka swojego miejsca.

Zwykle siedział naprzeciwko ojca, ale tego wieczora król polecił kamerdynerowi, aby umieścił księcia pomiędzy dwiema pannami bez przydziału.

Lokaj przytrzymał krzesło Franceski i pomógł jej usiąść.

Ten sam lokaj odsunął krzesło z jej lewej strony.

- No, no! Coś podobnego! - powiedział Maxim, zajmując swoje miejsce. - Posadzono nas obok siebie.

- Rzeczywiście, bardzo to dziwne - odrzekła.

Król tymczasem wznosił kryształowy kielich iskrzący się w blasku świec i przemówił:

- Dobry wieczór państwu. Pragnę podziękować wszystkim za przybycie. Szczególne podziękowania kieruję do pani doktor Elf za jej ofiarne i kompetentne czuwanie nad naszą charcicą oraz szóstką jej nowo narodzonych dzieci.

Francesca zarumieniła się aż po uszy, gdy wszyscy goście wzniesli kieliszki i zwracając głowy w jej stronę umoczyli wargi w rubinowym winie.

- Jak się miewają szczenięta, pani doktor? - zagadnął ją książę.

- Znakomicie.

- Nie zdążyłem ich odwiedzić. Dopiero co przyjechałem.

- Będiesz miał mnóstwo czasu, żeby się nimi nacieszyć i okazać im miłość i zainteresowanie po moim wyjeździe.

- A kiedy to nastąpi?

- W przyszłym tygodniu.

- Tak szybko?

- Obawiam się, że tak.

Maxim pochwycił spojrzenie ojca, który zmarszczył brwi i odezwał się:

- Maximie, czy twoje miejsce nie powinno być między lady Anną i lady Elizabeth?

- Siedzę dokładnie tu, gdzie powinienem, ojcze - odparł Maxim, pokazując ojcu wizytówkę przy swoim nakryciu.

Król otworzył już usta, aby mu odpowiedzieć, ale Ranen wybrał właśnie ten moment, by podroczyć się ze starym przyjacielem i przypomnieć królowi, jak to ostatnio przegrał z nim w karty.

Gdy podano zakąski, Maxim zwrócił oczy na Franceskę, która znad swego talerza ze szparagami i warzywną sałatką badawczo na niego spoglądała.

- Więc jak ci się spodobał Paryż? Czy wieża Eiffła wciąż stoi na swoim miejscu?

Maxim uśmiechnął się, podnosząc do ust widelec z młodziutkim szparagiem.

- Paryż był... powiedzmy... skłaniał do myślenia.

- To brzmi interesująco.

- Cóż, Paryż jak Paryż. Już samo chłonięcie tamtejszej atmosfery działa na człowieka inspirująco.

- Piękne miasto, piękni ludzie...

Maxim uśmiechnął się pod wąsem. Najwyraźniej Fran usiłowała w ten sposób wysondować, jak spędzał w Paryżu czas poza pracą, ale nie chciała otwarcie go o to zapytać.

- Jeśli chcesz wiedzieć, czy spotykałem się w Paryżu z kobietami, wystarczy zapytać wprost.

- Ależ wcale mnie to nie interesuje... - usiłowała się bronić.

- Wierz mi, chętnie odpowiem i nie będę się czuł zakłopotany.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości - odrzekła Fran, zirytowana przebiegiem tej rozmowy. - Uniosła głowę, zmierzyła go lodowatym spojrzeniem i oznajmiła:

- Wasza wysokość wybaczy, ale chcę teraz porozmawiać z Ranenem.

- Oj, chyba ci się to nie uda - powiedział Maxim z rozbawieniem w głosie.

- A to dlaczego?

Maxim spojrzał najpierw ponad jej głowę, a potem na nią i wyjaśnił:

- Ranen rozmawia właśnie z moim ojcem. Chyba nie chcesz przeszkodzić królowi w konwersacji?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, za jej krzesłem stanął kamerdyner i ściszonego głosem rzekł:

- Pani doktor zechce wybaczyć, ale proszona jest pani do telefonu. Dzwoni pan Dennis Cavanaugh.

- Przepraszam na chwilę - powiedziała Fran. Kiedy król skinął przyzwalająco głową, wstała od stołu i przeszła do holu, skąd kamerdyner poprowadził ją do niewielkiego saloniku i zamknął za nią drzwi.

Przez cały czas czuła na sobie palące spojrzenie Maxima. Ciekawe, czy był niezadowolony, ponieważ musiała opuścić przyjęcie, czy też nie podobało mu się to, że dzwoni do niej Dennis.

Fran wzięła do ręki słuchawkę i zagłębiła się w wygodnym, krytym beżową skórą fotelu.

- Witaj, Dennisie. Jak się masz?

- Po prostu za tobą tęsknię, Frannie.

Fran odetchnęła z ulgą, a zarazem poczuła się lekko zirytowana. Nie lubiła, kiedy ktoś nazywał ją Frannie. Słyszając to zdrobnienie, zawsze wyobrażała sobie małego pudelka.

- Miło mi słyszeć twój głos - powiedziała. - Kiedy do ciebie dzwoniłam, jakoś nie miałeś czasu na rozmowę.

- Tak, wiem. Mamy tu straszny młyn. - Dennis zamilkł na chwilę, po czym odezwał się znowu:

- Posłuchaj, Frannie, wiem, że zgodziłem się poczekać do twojego powrotu na odpowiedź, czy zechcesz mnie poślubić, ale naprawdę dłużej nie mogę już czekać.

Fran przygryzła wargę.

- O co ci właściwie chodzi?

- Muszę wiedzieć już teraz. Dzisiaj. Powiedz: wyjdiesz za mnie?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Fran położyła małego Lucky'ego przy matce, sama zaś usiadła, oparta o ścianę stajni. Odetchnęła głęboko, zadowolona, że może znów zająć się pracą. Tutaj, ze zwierzętami, czuła na swoim miejscu, tutaj życie wyglądało normalnie, swojsko. Zupełnie inaczej niż na zamku. Tam wszystko wydawało się nierealne, nieznanne i obce, ale zarazem fascynujące i pełne magii...

No i ten książę o kobaltowych oczach i gorących, pięknie wykrojonych ustach. Przy nim czuła się tak kobieco. Wiedziała, że jest podziwiana i pożądana. Bardzo dawno nie doświadczyła takiego uczucia.

Mimo to nie wróciła już do stołu. Powiedziała kamerdynerowi, że musi sprawdzić, jak miewają się szczenięta. Sama, z własnej woli, opuściła ten świat z bajki.

- Ominął cię deser.

Fran wzdrygnęła się na dźwięk jego głosu. Więc jednak tu przyszedł. Znowu ujrzy jego kobaltowe oczy...

- Nie jestem głodna - odparła z udaną obojętnością. Maxim, zabójczo przystojny w nienagannie skrojonym smokingu, podszedł do niej i zagadnął:

- Coś nie tak z Dennisem?

- Czyżbyś wreszcie zapamiętał jego imię? - zdziwiła się Fran.

- No cóż, nie chcę, abyś pomyślała, że jestem draniem bez serca - odrzekł, spoglądając na nią z ukosa. - Kto wie, może znalazł się w szpitalu albo wylądował na bezludnej wyspie i jest bliski obłędu...

- To bardzo szlachetnie z twojej strony, Maxim - uśmiechnęła się i popatrzyła mu w oczy.

- Czy chciałabyś mi powiedzieć, co się stało?

- Nie, chyba nie.

- No, dalej, śmiało, pani doktor - zachęcał ją Maxim, który sięgnął właśnie po krzesło i usiadł naprzeciw niej.

Dlaczego tutaj przyszedł? Czy naprawdę obchodzą go jej problemy? Może rzeczywiście jest ciekaw, czy coś przydarzyło się Dennisowi, ale to jeszcze nie powód, żeby opuszczać przyjęcie wydane przez ojca, wszystkich znakomitych gości i piękne kobiety, które śledziły wzrokiem każdy jego ruch...

- Doprawdy nie wiem, czy chcę o tym mówić - powiedziała po chwili namysłu, unikając jego wzroku.

- Jestem bardzo dobrym słuchaczem - zapewnił ją Maxim.

- Zapytaj Glinde.

Fran spojrzała na charcicę, która popatrywała to na nią, to na Maxima.

- Pewnie musiałeś wysłuchiwać jej skarg, kiedy była w ciąży, może się zaliła, że boli ją krzyż albo puchną nogi? - roześmiała się, odwracając do niego głowę.

- Zgadłaś - odparł Maxim. - Więc co się stało?

Fran wzięła głęboki oddech. Może jednak powinna mu powiedzieć. Może wtedy przestanie ją nękać. A ona z kolei odzyska spokój i przestanie tak bardzo go pragnąć.

- Dennis nie jest tylko... moim przyjacielem i...

- Dobrym człowiekiem.

- Właśnie.

- Jest twoim chłopakiem.

- Tak. I... - tu zawahała się, ale po chwili ciągnęła dalej. - Przed moim wyjazdem do Llandaronu Dennis poprosił mnie o rękę.

Maxim znieruchomiał, słysząc te słowa. Domyślał się, że Francesca widuje się z tym mężczyzną, ale nie przyszło mu do głowy, że sprawa jest aż tak poważna.

Oświadczyny? Coś podobnego! Wszystko to budziło w nim głęboki sprzeciw. Nie podobało mu się, że Fran ma kogoś poślubić, a zwłaszcza takiego nudziarza, jak ten weterynarz z Los Angeles. I był zły na siebie, że mu się to nie podoba.

- I co, zgodziłaś się zostać jego żoną?

- Powiedziałam, że się nad tym zastanowię.

- To dlatego teraz dzwonił? Żeby usłyszeć twoją odpowiedź?

Fran westchnęła głęboko i skinęła głową.

- Mówi, że nie chce już dłużej czekać. I właściwie ma rację.

- Na czym stanęło?

- Na niczym - odparła. - Dostał wiadomość, że wydarzył się nagły wypadek, i musiał pojechać do kliniki. Powiedziałam mu, że zadzwonię do niego jutro wieczorem.

- I dasz mu odpowiedź.

- Tak.

Dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Żadne z nich nie chciało zadawać trudnych pytań, które cisnęły się na usta, ani udzielać na nie odpowiedzi. Maxim oczywiście nie życzył sobie, aby Fran zgodziła się wyjść za Dennisa. Gdyby nadał była wolna, łatwiej by mu było przeprowadzić swój plan i mieć argument wobec ojca. Ale miał też inne powody.

Prawdę powiedziawszy, Maxim był bardzo zainteresowany Francescą, pragnął jej, potrzebował. Ale była to przecież tylko chwilowa zachcianka, a taka kobieta jak ona zasługuje na trwały związek. Dlatego nie powinien

starać się wpływać na jej decyzję, namawiać, by odrzuciła oświadczyzny Amerykanina, który chciał jej ofiarować wspólną przyszłość, dom, dzieci. Normalne życie.

Jednak kiedy Fran uśmiechnęła się do niego, postanowienie, które przed chwilą podjął, stanęło pod znakiem zapytania. Przedziwne, ale gdy Fran była blisko niego, Maxim tracił kontrolę nad swymi myślami.

Ujął jej rękę i pomógł wstać.

- Chodź ze mną.

- Dokąd?

- Do mnie.

- Nie - odpowiedziała natychmiast, ale nie uwolniła ręki ani nie spuściła wzroku. - To jest ostatnie miejsce, w którym powinnam dzisiaj być, Maxim.

- Czyżby pani doktor nie ufała sobie w moim towarzystwie? - zapytał z szelmowskim uśmiechem.

- Ależ skąd!

- Więc w czym problem? - Spojrzał na Glinę i szczenięta. - Wszyscy już smacznie śpią.

- Czy nie powinieneś wrócić na przyjęcie?

- Nie, ojciec z pewnością wszystkim się zajął, a ja poleciłem kamerdynerowi, żeby podał nam deser w latarni morskiej. Chcę ci tam coś pokazać.

- Wiem, że nie powinnam... - bąknęła Fran bez przekonania.

- Oto moje szachy - oznajmił z dumą Maxim.

W eleganckim salonie stały przy kominku dwa wygodne, kryte ciemnozieloną skórą fotele, a między nimi najpiękniejszy stolik do gry w szachy, jaki Fran kiedykolwiek widziała. Wykonany z hebanu, drzewa

sekwojowego i różanego, miał dwie szufladki, długie, smukłe nóżki i intarsjowaną szachownicę na blacie.

- Nigdy nie widziałam czegoś równie pięknego - oświadczyła Fran, przeciągając dłonią po wypolerowanej powierzchni.

- Ten stolik należał do mego prapradziadka, wykonał go miejscowy stolarz i to on wyrzeźbił te ozdoby z drzewa różanego. - Maxim sięgnął po mahoniową kasetkę z mosiężnymi uchwytami, która stała na półce nad kominkiem, otworzył ją i zaczął ustawiać na szachownicy pięknie rzeźbione figury z kości słoniowej. - Mój ojciec woli karty od szachów, ale ja od dzieciństwa uwielbiam tę grę.

Maxim rozluźnił trochę krawat, zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu fotela.

- Przyszło mi do głowy, że mógłbym cię nauczyć i spróbowalibyśmy sobie pograć.

Ach ci mężczyźni! pomyślała Fran, i omal nie parsknęła śmiechem. Zawsze im się wydaje, że są lepsi od kobiet! Oczywiście także w szachach. Skąd Maxim mógł wiedzieć, że kiedy miała zaledwie cztery latka, ojciec nauczył ją grać w szachy. Teraz przez Internet grywała z partnerami z różnych krajów - i nierzadko sprawiała im lanie. Ale przecież nie przyzna się do tego Maximowi. W każdym razie jeszcze nie teraz. Siadła więc naprzeciwko niego i, wzruszając ramionami, rzuciła od niechcienia:

- A więc spróbujmy. Mam jakieś takie pojęcie o szachach.

- Jesteś pewna?

- Tak. - Dotknęła smukłym palcem gońca, zatrzepotała rzesami i zapytała z wahaniem:

- To jest pionek, prawda?

- Nie, to jest... - Maxim spojrział na nią uważnie przez zmrużone oczy.

- Chyba nie robisz mnie w konia?

- No, może troszkę - zaśmiała się Fran. Niełatwo go nabrać, pomyślała. Będzie musiała to sobie zapamiętać.

- Wobec tego zaczynamy - oznajmił Maxim i zrobił ruch białym pionkiem.

- Tylko jedno pole. Interesujący ruch.

- Mam w zapasie mnóstwo niespodzianek, pani doktor.

- No, to niech wasza wysokość ma się na baczności, bo ja także - ostrzegła go Fran, wysuwając pionek o dwa pola.

- Marzę tylko o tym, żeby je wszystkie odkryć - wyznał Maxim przeszywając ją na wylot spojrzeniem.

- Nie próbuj wytrącić mnie z równowagi.

- Czyżbym się starał?

Fran kątem oka dostrzegła jego zniewalający uśmiech. Nie. Nie dzisiaj, postanowiła sobie z całą mocą. Dzisiaj musi wykazać się silną wolą.

Bez wahania wysunęła skoczką i, podobnie jak przeciwnik, dążyła do szybkiego rozwinięcia i wyprowadzenia figur. Gdy wykonała ruch hetmanem, Maxim zareagował:

- Śmiało posunięcie, pani doktor.

- Powiedzmy, że zdecydowane.

Na każdy jego ruch Fran miała gotową odpowiedź. Z satysfakcją stwierdziła, że Maxim jest bardzo dobrym graczem, bystrym, przewidującym i odważnym. Znakomitym partnerem.

Ogień na kominku powoli przygasał, kiedy Fran zaatakowała białego króla gońcem. Uniosła brew i spojrzała na Maxima z triumfem. Nie doceniła

jednak przeciwnika. Z zabójczym uśmieszkiem na ustach, Maxim w paru ruchach wybronił się od szacha, po czym błyskawicznie dał jej mata.

- Proponuję rewanż - oznajmiła Fran.

Maxim, pewny wygranej, skinął głową na znak zgody.

- A co będzie, jak znowu przegrasz? - zapytał.

- Może się założymy?

- O co?

- Na przykład o kawałek tego pysznego tortu?

- Chętnie ci oddam swój kawałek, Francesco. Założmy się raczej o coś cenniejszego.

- Staram się zgadnąć, co też takiego możesz mieć na myśli - powiedziała Fran, której serce zabiło mocniej.

- Może o czas?

- O czas? - Fran zmarszczyła czoło, nie pojmując, o co mu chodzi.

- Jeśli ja wygram, ty jeszcze na dwa tygodnie zostaniesz w Llandaronie - mówiąc to, uśmiechnął się do niej kusząco.

- Oczywiście po to, by doglądać Glindy i jej małych.

Fran poczuła, jak jej twarz oblewa rumieniec. Jeszcze dwa tygodnie w towarzystwie tego mężczyzny...

- A jeśli ja wygram?

- Wrócisz do domu zgodnie z planem. Do Los Angeles, do lecznicy i do...

- W porządku - przerwała mu Fran. Wiedziała, co miał na myśli. Do Los Angeles, do Dennisa. Dziwne, ale jakoś nie cieszyła się na myśl o tym powrocie. Przeciwnie, radowała ją bliskość mężczyzny, który siedział naprzeciw niej.

Westchnęła głęboko i poprawiła się w fotelu. Postanowiła, że zagra najlepiej, jak tylko potrafi, a resztę zostawi losowi.

- Zgoda. Bądź gotów. Rozłożę cię na obie łopatki.

Nigdy w życiu Fran nie rozgrywała tak emocjonującej partii szachów. Oboje grali szybko i ostro, bierki padały niczym podcięte kosą. Po przemyślanym debiucie i zaciętej grze środkowej, przyszedł czas na końcówkę. Wydawało się, że oboje mają równe szanse, ale remis nie wchodził w grę.

Fran podniosła wzrok znad szachownicy i spojrzała w oczy mężczyźnie, którego pragnęła ponad wszystko.

- Szach i mat - rzuciła krótko.

- Gratuluję wygranej - powiedział elegancko Maxim, przewracając palcem swego króla, który ze stukotem upadł na drewnianą szachownicę.

Fran nic na to nie odpowiedziała. W głębi duszy nie była pewna, czy rzeczywiście wygrała.

Maxim nie mógł uleżeć w łóżku, które przez dwanaście lat wydawało mu się takie wygodne. Dziwna sprawa, może po prostu był zmęczony po podróży.

W Paryżu miał tak napięty program, że kładł się spać dopiero nad ranem. Padał na hotelowe łóżko, ledwie żywy po długim dniu pracy. Ale teraz była dopiero jedenasta. Myśli o Fran nie dawały mu spokoju. Tęsknił za nią, wspominał krótkie chwile jej bliskości na plaży i noc na sianie w stajni. Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnął, by została z nim na noc. Ale uznał, że nie powinien jej do tego namawiać, zanim nie da odpowiedzi Dennisowi.

- Maxim?

Najpierw usłyszał jej cichy głos, a potem delikatne pukanie do drzwi sypialni.

W mgnieniu oka, w samych szortach od piżamy, zerwał się z łóżka i otworzył drzwi.

- Bardzo cię przepraszam - szepnęła Francesca, której policzki płonęły w przyćmionym świetle nocnej lampki. - Wiem, że zachowuję się bardzo niestosownie.

Maxim położył jej rękę na ramieniu i poprowadził do środka.

- Czy wszystko w porządku? - zagadnął z niepokojem.

- Nie - odpowiedziała Fran i bez zaproszenia z jego strony ze spuszczoną głową przysiadła na brzegu łóżka.

- Co się stało?

- Muszę z tobą porozmawiać. - Podniosła głowę i poprawiła pasmo włosów, które przesłoniło jej policzek. - Wiem, że wygrałam zakład, ale...

- Ale co?

- Nie chcę wyjeżdżać. Jeszcze nie. - Gdy to mówiła, serce ścisnęło się jej z bólu.

- Więc nie wyjeżdżaj, Francesco.

Fran nic nie odpowiedziała i przez chwilę siedziała cicho, po czym wyciągnęła rękę i dotknęła jego piersi. Maxim poczuł, jak ogarnia go gorąca fala.

- Powtórz mi jeszcze raz, że nie ma w twoim życiu księżniczki o końskiej twarzy.

- Nie ma nikogo.

- To dobrze - szepnęła, przesuwając placami po jego nagiej skórze.

Zapach jej waniliowych perfum oszołomił Maxima, który położył rękę na jej dłoni.

- Zostań dziś ze mną - poprosił.

- Nie mogę - powiedziała po chwili wahania.

- Możesz.

- Nie - rzekła. - Muszę wrócić na zamek. Powiedziałam strażnikowi, że zaraz wrócę, że idę tylko po torebkę, której zapomniałam w latami.

- Zapomnij o strażniku. Już ja się nim zajmę. Nigdy więcej nie będzie cię pytał, dokąd idziesz.

- Nie, Maxim, proszę cię. Nie chcę, żeby ludzie zaczęli gadać. A poza tym, będę musiała zadzwonić.

Maxim pokręcił głową i westchnął głęboko. Fran ma oczywiście rację. Jeśli mają spędzić razem miłe dwa tygodnie w Llandaronie, Fran musi najpierw wyjaśnić swoje sprawy osobiste.

- Jutro wieczorem zamierzam cię porwać - zapowiedział.

- To znaczy, że chcesz się ze mną umówić na randkę?

- Właśnie. - Nie mogę się doczekać. - uśmiechnęła się do niego promiennie.

On też nie mógł już o niczym innym myśleć. Ale postanowił sobie, że musi wytrwać.

Odprowadził ją do drzwi, ale ich nie otworzył. Opierając się o nie, odezwał się:

- Nie mogę pozwolić ci odejść, zanim się nie dowiem, dlaczego.

- Dlaczego co?

- Dlaczego zdecydowałaś się nie skorzystać z wygranego zakładu.

Czemu chcesz zostać w Llandaronie.

Fran zbliżyła się do niego i pocałowała go. Długo, namiętnie.

- Oto dlaczego - szepnęła.

Maxim objął ją, przyciągnął do siebie i zaczął całować coraz mocniej. Oboje pragnęli, by ten pocałunek trwał bez końca, i oboje ogarnęło uczucie radosnej bliskości.

Kiedy wreszcie Fran udało się oderwać od jego ust, z trudem złapała oddech i wykrztusiła zduszonym głosem:

- Nie wiem, co się właściwie między nami dzieje, ale nie potrafię nad tym zapanować. I wszystko jedno, czy się to wypali w dwie godziny, w dwie noce czy w dwa tygodnie, muszę się przekonać, gdzie to...

- Wiem, Francesco, wiem. - Maxim nie miał wątpliwości że Fran przyjdzie do niego z własnej woli.

Odszedł od drzwi, otworzył je i powiedział:

- Do zobaczenia. Do jutra.

Fran skinęła głową. Oddech miała wciąż przyspieszony, policzki zaróżowione, a usta czerwone jak dojrzałe wiśnie.

- Idź już, Francesco - szepnął Maxim. - Bóg mi świadkiem, że robię, co mogę, aby pozostać dżentelmenem, ale nie kuś mnie dłużej.

Fran odwróciła się i zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

Francesca powiesiła słuchawkę, zgasiła światło i położyła się do łóżka. Nie dawały jej zasnąć mieszane uczucia - ulgi, radosnego oczekiwania, winy i smutku.

Dennis okazał się wielkoduszny i od razu jej wybaczył. Całe szczęście, że nie wierzył w prawdziwą, wielką miłość i dlatego decyzja Fran nie złamała mu serca. Nie odpowiedziała mu jednak na pytanie, na które powinna była odpowiedzieć bez trudu.

Dlaczego?

Fran obróciła się na bok i mocno przytuliła do poduszki. Wprawdzie nie posunęła się do kłamstwa, ale też nie potrafiła mu wyznać prawdy: ona,

rozsądna, praktyczna, inteligentna doktor Francesca Elf doświadczyła tego, co wydawało się jej nie do pomyślenia: zakochała się w księciu Llandaronu.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Maximie, co ty u diabła robisz?

- Czytam gazetę, ojciec - odparł Maxim, który na fotelu w zamkowej bibliotece przeglądał właśnie londyńskiego „Ti-mesa”. - Czy wiesz, że w Wielkiej Brytanii najwyżsi urzędnicy państwowi dostali pięćdziesięcioprocentowe podwyżki pensji?

- Nie, nie wiedziałem o tym - odparł król i odchrząknął z niezadowoleniem.

- To niesłychane.

- Maximie - odezwał się znów król ostrzegawczym tonem.

- Tak? Czy coś się stało? - zapytał niewinnie Maxim, jak gdyby nie wiedział, czego chce od niego ojciec i dlaczego wezwał go do biblioteki na poważną rozmowę.

- Czy umówiłeś się na dzisiejszy wieczór z doktor Elf?

- Zabieram ją na festyn do miasteczka.

Maximowi zależało, aby wszyscy zobaczyli go w towarzystwie Franceski, ale uważał także, że po wielu godzinach pracy w stajni przy kojcu z psami Fran chętnie pobędzie parę godzin na powietrzu. Najważniejsze jednak było to, że chciał spędzić miłe chwile z najpiękniejszą kobietą na wyspie.

W Llandaronie co roku odbywał się festyn. Na obrzeżu ustawiano stragany, gdzie można było kupić miejscowe przysmaki, w środku zaś znajdowały się strzelnice, karuzela, zjeżdżalnie i inne atrakcje wesołego miasteczka. Maxim od wielu lat nie był na festynie, a więc czas najwyższy, aby się na nim pokazał. Poza tym, należało mu się trochę wypoczynku i

rozrywki po pobycie w Paryżu, gdzie nocami ślęczał nad kontraktami, które zamierzał zawrzeć z różnymi firmami.

- Nie podoba mi się to, Maximie.

Maxim złożył gazetę i rzucił ją na stolik, który stał obok jego fotela.

- Dlaczego, ojczcze?

- Co sobie ludzie pomyślą? Zamierzasz już po raz drugi afiszować się z nią w mieście.

- Afiszować się? - Maxim pochylił się w fotelu i spojrzał ojcu prosto w oczy. - Ojczcze, pozwól sobie powiedzieć, że przemawiają przez ciebie uprzedzenia, których nie pochwalam.

- Dobrze wiesz, że to nie ma nic wspólnego z tym, kim ona jest i skąd pochodzi - parsknął król.

- Czyżby?

- Oczywiście, że nie.

- Więc o co chodzi?

- Doktor Elf to piękna, inteligentna i czarująca kobieta. Ranen jest nią zachwycony. I ja też.

Maxim oparł się wygodniej w fotelu. Ta rozmowa zaczynała go irytować. Ale czy nie do tego dążył? Czy nie chciał, by ojciec, zaniepokojony zainteresowaniem syna plebejką, zrezygnował ze zmuszania go do małżeństwa?

- Więc o co ci chodzi, ojczcze?

- Maximie, jak wiesz, obywatele Llandaronu są z usposobienia romantykami. Bardzo im zależy na tym, by rodzina królewska była szczęśliwa. Jeśli znów zobaczą was razem, pomyślą sobie, że kroi się romans.

- Niech myślą, co im się podoba - burknął Maxim. I naprawdę tak uważał. I dziwił się samemu sobie. Przecież to nie był romans, ale zwykłe pożądanie, potrzeba spełnienia. Nie mogło być inaczej.

- Proszę cię, przestań być taki niefrasobliwy. W sytuacji, kiedy twój brat nie ma potomstwa, ludzie oczekują od ciebie, że dasz im dziedzica korony. Kiedy na balu ogłoszę imię twojej narzeczonej, a nie będzie nią kobieta, z którą cię widują, poczują się oszukani.

- Ojczy, za bardzo mnie naciskasz.

- Jak sądzisz, co ludzie powiedzą, kiedy doktor Elf wróci wreszcie do swojego kraju i swojego życia?

- Mam już dość tej rozmowy - rzucił Maxim przez zęby i wstał z fotela.

- Rozczarujesz ich, tych ludzi, o których dobro, jak sam twierdzisz, tak bardzo się troszczysz.

Dla Maxima było oczywiste, że żaden z nich - ani ojciec, ani on sam - nie zamierza ustąpić. To prawda, że szczerze troszczył się o dobro obywateli Llandaronu. Ale czy powinien dla nich zrezygnować z własnych potrzeb?

Przeczesał palcami włosy. Zna przecież odpowiedź na to pytanie. Znał ją zawsze. Mimo to, postanowił przyjemnie spędzić następne dwa tygodnie. Resztę życia chętnie poświęci ojcu i swoim poddanym.

- Ojczy, zakończmy tę rozmowę. Chcę ci jeszcze tylko powiedzieć, że zaprosiłem Franceskę, by spędziła tu jeszcze dwa tygodnie. A teraz żegnam cię - Maxim uklonił się ojcu.

- Przekaż, proszę, pani doktor pozdrowienia ode mnie - westchnął z rezygnacją król.

Fran świetnie się bawiła, rzucając ptysiem w tarczę. Za trzecim razem trafiła w sam jej środek. Krem rozbryzgał się na wszystkie strony, a

zgrupowani kibice zgotowali jej owację. Wokół nich wszyscy bawili się w najlepsze, dzieciaki biegały podniecone od stoiska do stoiska, umazane resztkami waty cukrowej.

- Może kupilibyśmy trochę krakersów i sera? - zaproponowała Fran, wskazując niewielki stragan znajdujący się parę kroków dalej. - Zbliża się pora kolacji, a ja zgłodniałam jak wilk.

Maxim poszedł pierwszy, torując jej drogę pośród gromady rozbawionych maluchów. Fran nie mogła oderwać od niego oczu. Z podziwem patrzyła na jego męską sylwetkę, szerokie ramiona i wąskie biodra, opalone, umięśnione ręce, szlachetną, pięknie osadzoną głowę. Znakomicie się prezentował w niebieskich dżinsach i granatowej sportowej koszuli z podwiniętymi rękawami. Tak bardzo pragnęła znaleźć się w jego silnych, opiekuńczych ramionach...

Kiedy siedzieli na ławie przy drewnianym stole i pogryzali krakersy ze świetnym miejscowym kozim serem, Fran nie mogła nie zauważyć, że wszyscy im się przyglądają, uśmiechają się do nich nieśmiało i szepczą między sobą. Co gorsza - a może powinna się z tego cieszyć? - kiedy wstali od stołu, Maxim ostentacyjnie wziął ją za rękę i poprowadził do wesołego miasteczka.

- Wasza wysokość, Francesco, proszę tutaj - usłyszeli entuzjastyczny głos Ranena Turka. Pomiedzy stoiskami, gdzie rzucono do celu pierścieniem oraz strzałkami do tarczy, ustawiono czerwone podium z czymś, co przypominało skalę, z dzwonkiem na samej górze.

Napis głosił: „Tylko dla siłaczy. Spróbuj uruchomić dzwonek. Do trzech razy sztuka. Zdobądź nagrodę!”

- Witaj, Ranenie - zawołał Maxim zbliżając się do podium. - Czyżbyś obsługiwał to stoisko?

- Ano, tak się składa - potwierdził starszy pan z szerokim uśmiechem. -
Może książę zechce spróbować?

Tymczasem za ich plecami zebrał się już sporu tłumek gapiów.

- Widzę, że nie mam innego wyjścia - roześmiał się Maxim. - Ale
chyba dasz mi najpierw buziaka na szczęście? -zwrócił się do Fran, która
natychmiast spłonęła rumieńcem.

- Przecież wszyscy na nas patrzą - szepnęła.

- Czyżbyś się wstydziła, że cię widzą w moim towarzystwie? - zapytał
Maxim z rozbawieniem w lśniących, szafirowych oczach.

- Daj spokój, Maxim. Przecież staram się chronić twoją reputację, a nie
własną.

- Moja reputacja została zaszargana już dawno temu - odparł Maxim i,
nie czekając na jej odpowiedź, przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta.
Mimo że nie był to ani długi, ani namiętny pocałunek, Fran poczuła, jak z
wrażenia uginają się pod nią nogi.

Maxim tymczasem wskoczył na podium, wziął do ręki olbrzymi
drewniany młot, który podał mu Ranen i zawołał w stronę zgromadzonych
wizdów:

- Niech żyje Llandaron!

- Niech żyje książę Maxim! - odpowiedział chór kibiców.

Maxim podniósł młot, naprężył mięśnie i rąbnął w metalowy pręt. W
momencie uderzenia, wskazówka na skali podskoczyła do góry i stanęła
kilka centymetrów pod dzwonkiem.

Tłum jęknął. Ranen pokazał w uśmiechu zęby. Maxim podniósł do
góry rękę i poprosił o ciszę.

Przy kolejnym uderzeniu wskazówka zatrzymała się o włos od
dzwonka. Czoło Maxima zrosiły kropelki potu.

- Może Wasza Wysokość zechce się poddać? - ironizował Ranen.

- Nigdy w życiu. - Maxim spojrział na Fran i zawołał:

- Jaką nagrodę wybiera pani doktor? Pluszowego misia czy emaliowaną puderniczkę?

- Oczywiście misia - uśmiechnęła się w odpowiedzi Fran. Wokół nich rozlegały się okrzyki kibiców, zagrzewających księcia do walki. Maxim po raz ostatni powoli i metodycznie podniósł młot. W tym momencie wyjrzała zza obłoków tarcza zachodzącego słońca i czerwona poświata opromieniła sylwetkę księcia. Widzowie zamarli w oczekiwaniu. Maxim jeszcze raz naprężył mięśnie, wziął zamach i uderzył z całej siły. Wskazówka popędziła do góry, aż wreszcie odezwał się wyczekiwany dzwonek.

Tłum szalał z radości. Maxim uklonił się, dziękując za aplauz, jaki mu zgotowano, po czym teatralnym gestem wskazał na olbrzymiego pluszowego misia, który królował wśród innych nagród. Ranen przybrał smutną minę, rozłożył ręce, gestem człowieka pokonanego w walce, po czym podszedł do Maxima i wręczył mu misia

- Trzymaj! - zawołał Maxim i rzucił misia w ramiona Fran, która ugięła się pod jego ciężarem, po czym zeskoczyła z podium i stanęła obok niej.

- Jesteś pewien, że większego trofeum już nie mają? - zapytała filuternie, spoglądając ponad puszystą głowę zwierzaka na urodziwego zwycięzcę.

Oboje głośno się roześmieli. Tymczasem tłum zaczął się rozpraszać. Ranen przysiadł na krawędzi podium i westchnął:

- Dziewczyno, jak ty z nim wsiądziesz do samolotu? Fran i Maxim w jednej chwili otrzeźwieli.

Wymienili spojrzenia i porozumieli się bez słów, że nie będą ani myśleć, ani mówić o tym, co nastąpi za dwa tygodnie. Gdy pożegnali się z Ranenem, Maxim objął Fran i szepnął:

- Chodźmy stąd.

- Wracamy na zamek?

- Nie - potrząsnął głową Maxim. - Myślę, że dasz się zaprosić na przejażdżkę w wesołym miasteczku.

- Świetny pomysł - powiedziała Fran i mocniej się do niego przytuliła.

- Jak się ta podróż nazywa? - zapytała Fran, której trudno było uwierzyć, że małe, prowincjonalne miasteczko może oferować tak fantastyczne atrakcje.

- „Legandy miłości” - odparł Maxim, puszczając do niej oko.

Na przepompowanej z morza wodzie głębokiej na ponad metr unosiły się z wdziękiem łódki, poruszane przez przesuwaną się pod wodą stalową linę, do której były przymocowane. Słońce zaszło właśnie za horyzontem i zapadał powoli zmrok. Fran i Maxim mieli do dyspozycji własną łódkę, na której dziobie siedział jak na warcie pluszowy miś. Łódka płynęła powoli między porośniętymi trawą i krzewami fuksji pagórkami, a potem pod drewnianymi mostkami. Zamiast wyciszonych odgłosów jarmarku słyszeć było śpiew skowronków.

- Odbyłam kiedyś podobną podróż w Ameryce - powiedziała Fran.

- Naprawdę?

- Tak - potwierdziła, zerkając na niego niewinnie. - Jeśli dobrze pamiętam, nazywało się to „Tunelem miłości”.

- Ciekawe - odezwał się Maxim, któremu drgnął mięsień na policzku.

- A z kim wtedy byłaś?

- Zabrał mnie na przejażdżkę Bert Wilson.

- Kto to taki?
- Mój chłopak.
- Aha - mruknął niechętnie Maxim, mocniej zaciskając zęby.
- Był moim chłopakiem w szóstej klasie - wyjaśniła Fran z

szelmowskim uśmiechem.

Maxim odpreżył się, słysząc te słowa.

- Czy chciał cię pocałować?
- Tak, ale mu nie pozwoliłam.
- A mnie pozwolisz?

Nawet w zapadającym zmierzchu jego oczy były lśniące i intensywnie błękitne. Fran pragnęła się w nich zgubić, zatracić, rozpuścić na zawsze.

- Możesz mnie pocałować... jeden raz.
- Tylko jeden raz? - zapytał z żartobliwym niedowierzaniem,

przyciągając ją do siebie.

- No, powiedzmy, że dam ci znać, kiedy masz przestać - powiedziała, spoglądając na niego spod długich rzęs.

Fran nie zauważyła nawet, że zaczyna się już robić chłodno i od morza nadciąga lekka bryza. Czowała ciepło ciała Maxima, który ją do siebie przytulił, przymknęła oczy i czekała na jego wytęskniony pocałunek. Inne łódki były daleko od nich, wokół panował błogi spokój i wyciszenie.

Nagle łódka szarpnęła i stanęła w miejscu. Maxima rzuciło na dziób, a Fran wylądowała na dnie, tuż obok niego.

- Nic ci się nie stało? - zapytał z troską w głosie, ujmując w dłonie jej twarz.

- Nie - odrzekła i rozejrzała się wkoło.

Znajdowali się pod małym, krytym mostkiem, pod którym gromadziły się gęste, mlecznobiałe obłoki.

- Co się dzieje? - spojrzała na Maxima ze zdziwieniem.

- Widocznie jest już szósta - odpowiedział. Był tak blisko, tak bardzo blisko niej...

- Więc to mgła?

- Tak.

- A dlaczego zatrzymali łódki?

- Ze względów bezpieczeństwa.

- Ale ja wcale nie czuję się przez to przy tobie bezpieczna, mości książę.

- Wcale nie chcę, żebyś się czuła bezpieczna.

Mgła otuliła ich szczelnie, niczym śnieżna peleryna, pod którą byli sami i spod której nie mogli się wydostać. Dokładnie tak, jak pragnęli tego kochankowie z Llandarõeskiej legendy.

Maxim delikatnie powiódł palcem po wargach Fran, nie spuszczać wzroku z jej oczu. Po chwili poczuła jego usta na swoich, gorące, namiętne, coraz bardziej natarczywe. Rozchyliła wargi, rozkoszując się jego bliskością, której tak bardzo pragnęła, na którą tak czekała. Drżała w jego objęciach, zagubiona w swoich uczuciach, ale szczęśliwa jak nigdy dotąd.

- Jesteś taka piękna - szepnął Maxim, dotykając dłonią jej piersi. - Ale nie tylko twoja uroda mnie fascynuje. Jesteś mądra, inteligentna, namiętna i na dodatek masz poczucie humoru. Nigdy nie znałem takiej kobiety jak ty.

- Ani ja takiego mężczyzny jak ty - wyszeptała Fran.

Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Nigdy nie doświadczyła takiego przemożnego pragnienia bliskości drugiego człowieka. Maxim zaczął całować jej szyję, ramiona, piersi.

- Powiedz mi, czego pragniesz, Francesco.

- Pragnę, żebyś nie przestał mnie całować i pieścić. Czują na sobie jego gorący, przyspieszony oddech, czują jak rozpina jej bluzkę, jak gładzi jej piersi, a potem uda, wyżej, coraz wyżej...

Ogarnęła ją fala nieznanego dotąd podniecenia, radości, a potem następna i jeszcze następna. Oddała się bez reszty temu mężczyźnie, którego pokochała, po raz pierwszy w życiu panowanie nad sobą, które tak sobie ceniła, przestało zupełnie się liczyć.

Gdy przyszła wreszcie ta ostatnia, wysoka fala rozkoszy, która całkowicie ją pochłonęła, Fran ostatkiem sił wyszeptała jego imię. W mlecznej mgle, która ich spowiła, oboje czuli się tak, jakby byli sami na świecie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nagle łódka szarpnęła i znów ruszyła. Mgła powoli zaczęła się rozpraszać. Za szybko, o wiele za szybko...

- Co się dzieje, Maxim?

- Włączyli znów silnik. Mgła wyjątkowo wcześniej dziś ustąpiła.

Zupełnie nie w porę. - Uśmiechnął się i mocno pocałował ją w usta, po czym podał jej rękę, pomógł wstać i usiąść na ławeczce, a wreszcie założył za ucho kosmyk włosów, który opadał jej na oczy i policzek.

Łódka spokojnie sunęła dalej, a Fran zastanawiała się, co też Maxim czuje i co myśli o ich niedawnym zbliżeniu. Ale oczywiście nie było mowy, żeby go o to zapytać. A on nie zamierzał jej tego wyjawić.

Maxim odwrócił głowę i spojrzał na przesuwany się przed nimi ukwiecony brzeg. Nadal czuł na wargach smak ust Franceski, ciepło jej ciała i namiętą bliskość, która ich połączyła.

Już dziś wiedział, że te wspomnienia wyryją się na zawsze w jego pamięci. Co się tu właściwie wydarzyło? Nie było to przecież jego pierwsze zbliżenie z kobietą, ale czegoś podobnego nigdy nie zdarzyło mu się przeżyć. Czuł się zupełnie oszołomiony. Z Francescą było zupełnie inaczej. Niebezpiecznie inaczej.

Miał wrażenie, że od pierwszej chwili coś go ku niej popychało. A przecież powinien był zostawić ją w spokoju, kiedy tylko się spotkali. Albo przynajmniej przedłużyć swój pobyt w Paryżu. I dlaczego zaprosił ją na te dodatkowe dwa tygodnie?

Odpowiedź była prosta. Dlatego, że pragnął jej o wiele bardziej, niż kogokolwiek w życiu. Pod każdym względem. Wszystko go w niej fascynowało. I świetnie zdawał sobie sprawę, że jeśli się jej podda, jeśli

przyjmie to, co jest gotowa mu ofiarować, zacznie igrzać z ogniem, którego może potem nie zdoła ugasić.

Tymczasem łódka dobiła do brzegu. Maxim wyskoczył z niej pierwszy i pomógł Francesce wsiąść.

Gdy ruszyli w drogę powrotną, Fran wzięła go pod rękę, zajrzała mu w oczy i zapytała kusząco:

- Co byś powiedział na partyjkę szachów dziś wieczorem?

Maxim przez krótką chwilę bił się z myślami. Bardzo pragnął powiedzieć „tak”, ale rozsądek podpowiadał mu, że „nie” będzie właściwszą odpowiedzią.

- Niestety, muszę popracować.

Fran pomilczała chwilę, po czym powiedziała

- Rozumiem. Więc może jutro?

- Może. Mam masę pilnej roboty.

- Ktoś kiedyś powiedział, że nie samą pracą człowiek żyje...

- Tak. Pewnie najlepiej jest zachowywać szlachetną równowagę.

- Więc właśnie to teraz robisz, Maxim? - zapytała z żalem w głosie. -

Zachowujesz równowagę?

Maxim wolał zmienić temat.

- Słuchaj, zapomnieliśmy o misiui. Został biedak w łódce. Fran spojrzała na niego tak, jakby chciała mu rzucić wyzwanie, i powiedziała ostro:

- Może powinniśmy wszystko zostawić w tej łódce. Maxim nie był pewien, co powinien powiedzieć.

- Może - odparł krótko.

Słowo to padło jak kamień. Maxim ujrzał w oczach Fran ból i konsternację. Puściła jego ramię i w milczeniu ruszyła w stronę samochodu.

Zostawić wszystko w tej łódce. Posunął się do idiotycznego kłamstwa. Jak mógł sobie w ogóle wyobrazić, że dziś wszystko się między nimi skończyło, że będzie mógł o niej zapomnieć i normalnie żyć dalej? Nonsens, pomyślał. Fran zanadto zaszła mu za skórę, wniknęła w jego krwiobiegi.

- Taki jesteś słodki i śliczny, mój maleńki.

Lucky przeciągnął się z rozkoszą na kolanach Fran, prostując krótkie jeszcze, grube łapki. Przed godziną wstało słońce i Llandaron zaczynał dopiero budzić się ze snu. Kwiaty zwracały kolorowe główki ku życiodajnemu słońcu, konie przestępowały w boksach z nogi na nogę, czekając na poranną porcję owsa.

Szczęśliwie, Lucky, jego siostry i bracia nie musieli czekać na wschód słońca, Glinda dawała swoim dzieciom wszystko, czego potrzebowały, niezależnie od pory dnia.

Siedząc przy kojcu Fran wspominała wydarzenia ostatniego wieczoru. Na myśl o nich krew pulsowała jej w skroniach. W łodzi wydawało się jej, że Maximowi na niej zależy, że jest nią zainteresowany, ale kiedy mgła się rozproszyła, odsunął się od niej, odstawił do domu i życzył dobrej nocy. Zachowywał przy tym wszystkim chłodną rezerwę.

Najwyraźniej w jego obecności Fran traciła zdrowy rozsądek. Nie wiedzieć czemu porzuciła dotychczasową ostrożność i uwierzyła, że Maximowi na niej zależy. Czyż już raz nie doświadczyła bolesnego odrzucenia przez mężczyznę? Dlaczego nie wyciągnęła z tego wniosków i nie umiała mu się oprzeć?

Głaszcząc miękkie futerko Lucky'ego, który właśnie zasnął, pomyślała, że w głębi serca wciąż jednak wierzy, iż Maxim nie jest podobny do tamtego faceta i że nie odrzucił jej tak jak tamten, który ją zlekceważył, kiedy tylko mu uległa.

Może po prostu jest zakochana, a może głupia i naiwna. A może nie. Z powodu tego dawnego, złego doświadczenia unikała bliskich kontaktów z mężczyznami. Nie mógł więc do niej dotrzeć ani żaden podlec, ani też żaden przyzwoity, dobry człowiek, poza Dennisem, którego traktowała właściwie jako przyjaciela. Czy powinna teraz poddać się i uciec gdzie pieprz rośnie, nie rozmawiając w ogóle z Maximem o tym, co się wczoraj wydarzyło?

- Dzień dobry pani - odezwał się znienacka wesoły kobiecy głos. Fran drgnęła, zaskoczona i oślepiona słońcem, które padało jej wprost na twarz. Zmrużyła oczy i starała się odgadnąć, kim jest ta kobieta, której sylwetkę dostrzegała jak przez mgłę.

- Przepraszam bardzo, ale nie widzę pani w tym blasku - powiedziała, przesłaniając oczy dłonią.

Nieznajoma podeszła bliżej, zostawiając za sobą smugę słońca. Fran ujrzała przed sobą szczupłą kobietę, zapewne dobrze po sześćdziesiątce, ubraną w srebrnobiałą suknię. Na głowie miała połyskujący diadem, wysadzany szafirami i brylantami. Z sylwetki, wyjątkowo młodej i zgrabnej, oraz z pięknych, migdałowych, ciemnych oczu przypominała Audrey Hepburn. Bez wątplenia należała do rodziny królewskiej. Ale jeśli tak, to dlaczego Fran jej dotąd nie spotkała?

- Pani doktor Elf, jeśli się nie mylę? Witam panią serdecznie - powtórzyła z rozbijającym uśmiechem tajemnicza nieznajoma.

Jej głos i ruchy, a nawet sposób noszenia głowy, wskazywały, że ukończyła najlepsze szkoły. Jednocześnie zachowywała się w sposób miły i bezpośredni, bez cienia wyższości.

- Bardzo proszę, by nazywała mnie pani Fran.

- Dziękuję, to miło z pani strony. Chciałabym zerknąć na Glinę i jej dzieci. Słyszałam, że dzielnie sobie radziła, przy pani pomocy.

- Tak, szczenięta są naprawdę zdrowe i śliczne - potwierdziła Fran, z podziwem przyglądając się dyskretnie nieznajomej i jej pięknej twarzy o delikatnych rysach, ledwie naznaczonej siateczką drobniutkich zmarszczek.

- Król obiecał, że pozwoli mi wybrać jednego pieska - powiedziała srebrzystobiała dama i skierowała ocienione długimi rzęsami oczy na malucha, śpiącego smacznie na kolanach Fran. - A to kto?

- Nazywam go Lucky.

- Czy to ten, któremu uratowałaś życie?

- Tak.

- Wszyscy bardzo cię podziwiamy.

- Ach, doprawdy nie ma za co. Na tym polega moja praca.

- Na ratowaniu innych?

- Czasami.

- Jest jeszcze ktoś inny, kogo możesz uratować. Fran spojrzała z niepokojem na szczenięta w kojcu.

- Nie, mam na myśli kogoś zupełnie innego - roześmiała się nieznajoma.

- Proszę mi wybaczyć - bąknęła Fran, zupełnie zdezorientowana. - Nie rozumiem, o czym pani mówi.

- Zrozumiesz niebawem, moja droga - upewniła ją dama w diademie, po czym odwróciła się i ruszyła lekkim krokiem w stronę drzwi, opromieniona słońcem niczym srebrno-złoty obłok.

- Bardzo przepraszam, ale... - Fran zawiesiła głos, gdyż nie wiedziała, kim jest nieznajoma. - Wasza wysokość? Proszę nie odchodzić...

Ale świetlista zjawia rozplynęła się, zniknęła równie nagle, jak się ukazała.

Tego wieczora Maxim usiłował skupić się nad pracą, ale od kilku godzin cyfry tańczyły mu przed oczami. Sfrustrowany, zgarnął z biurka papiery. Nie jeden raz w życiu z takich czy innych powodów trudno mu się było skoncentrować, ale jednak zawsze potrafił ukończyć to, co sobie zaplanował. Zawsze, to znaczy do czasu, kiedy na wyspę przybyła doktor Elf. Myśli o niej nie dawały mu spokoju, sam nie wiedział, czy ma ją przekląć, czy wyruszyć w ciemną noc, zapukać do jej pokoju

I wziąć w ramiona.

Po raz nie wiadomo który spojrzał na stolik do szachów. Nie, to niemożliwe. Nigdy nie miał obsesji na punkcie kobiet, miło spędzał czas w ich towarzystwie, i tyle. A potem każde z partnerów wracało do własnego życia, uszczęśliwione i zadowolone.

Maxim wciągnął głęboko powietrze. Poczł miły zapach drewna płonącego na kominku, ale także inną, delikatną woń, jakby już skądś znaną, przepojoną wanilią i konwalia i posłyszał ciche kroki pod drzwiami.

- Czy możesz mi powiedzieć, co się stało?

Maxim westchnął głęboko, ale nie podniósł na nią wzroku.

- Jak się tu dostałaś? - zapytał, starając się, by jego głos zabrzmiał chłodno.

- Strażnicy już mnie znają - powiedziała Fran i podeszła do niego bliżej. - A drzwi nie były zamknięte na klucz. Może miałaś powód, by ich nie zamykać?

- Spodziewam się pewnej przesyłki - odparł, udając, że nie dostrzega nutki nadziei w jej głosie.

- No cóż, jestem tutaj - szepnęła Fran i położyła mu rękę na dłoni.

Maxim uśmiechnął się mimo woli i spojrzał na nią. Po prostu nie mógł się jej oprzeć, tak ślicznie wyglądała w zwykłym, niebieskim swetrze i

dżinsach, z włosami upiętymi w węzeł z tyłu głowy. Pełna kobiecego wdzięku i taka seksowna... Pokręcił głową, ale nie cofnął ręki.

- Umówiliśmy się, że już dziś się nie spotkamy.

- Bo miałeś pracować.

- Właśnie.

- Ale ja ci nie wierzę.

- Słucham?

- Maxim, jeśli zmieniłeś zdanie o tej całej sprawie, o nas obojgu, to nie zostanę tu już dłużej...

- Nic się nie zmieniło.

- Więc co się dzieje?

Działo się to, że Maxim tracił panowanie nad sobą. Jeszcze chwila, a podejdzie do niej i zacznie ją rozbierać. A niech to wszyscy diabli!

Widząc, że Maxim nie chce jej odpowiedzieć, Fran cofnęła dłoń i podeszła do kominka.

- Pamiętasz dzień, kiedy się poznaliśmy? Mówiliśmy wtedy o potrzebie dokonywania w życiu wyborów.

- Pamiętam.

- Więc teraz nadeszła taka chwila, Maxim. Powinieneś dokonać pewnego wyboru. Musisz być szczery.

Atmosfera w pokoju stała się napięta. Maxim wstał od biurka i odsunął krzesło.

- Pragniesz szczerości? Proszę bardzo. - W mgnieniu oka był przy niej i chwycił ją za ramiona. - Francesco, potrzebuję cię tak bardzo, że aż kręci mi się w głowie. Nigdy nikogo nie potrzebowałem. Rozumiesz? Nikogo. Ale ciebie potrzebuję. Jak wędrowiec na pustyni potrzebuje wody.

Przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował w usta.

Fran bała się, że serce wyskoczy jej z piersi, tak mocno waliło. A więc Maxim jej pragnie, potrzebuje jej. To, co się zdarzyło w łódce, nie było tylko przelotną zachcianką, podobnie jak jego późniejsze zachowanie nie było odrzuceniem jej. Maxim po prostu lękał się własnych uczuć.

Spoglądając w jego oczy, pełne czułości i namiętności, Fran pomyślała, że może bez reszty oddać się temu mężczyźnie, a potem odejść, kiedy nadejdzie czas. Była gotowa przyjąć te dwa tygodnie jako dar losu i przeżyć je z mężczyzną, którego pokochała.

Teraz to ona objęła go za szyję i pocałowała, przylgnęła do niego mocno, całą sobą.

- Więc weź to, czego potrzebujesz - szepnęła. Maxim cofnął się o krok i spojrzał jej w oczy.

- Francesco, moja przyszłość nie należy do mnie. Za półtora tygodnia, podczas balu na zamku, będę musiał oznajmić obywatelom tego kraju...

- Nie.

- Niestety tak. Musisz to zrozumieć.

- Ależ ja rozumiem, Maxim. Przecież nie jestem idiotką. Za półtora tygodnia pożegnam się z Llandaronem. Ze wszystkimi jego mieszkańcami.

- Nie rozumiesz...

- Właśnie że rozumiem. Zostało nam dziesięć dni. Czy chcesz, żebyśmy spędzili je osobno, czy może jednak razem, blisko siebie?

- Chyba mnie zaczarowałaś - jęknął Maxim, który nie mógł się jej dłużej opierać. Objął ją mocno i zaczął obsypywać jej twarz pocałunkami.

Fran poczuła, jak dreszcz oczekiwania, a potem rozkoszy przeszywa jej ciało. Przywarli do siebie i całowali się długo, coraz namiętniej.

Wreszcie Maxim odchylił głowę, spojrzał jej głęboko w oczy przez zmrużone rzęsy i wyszeptał prosząco:

- Francesco...

- Tak. Ja też tego pragnę, Maxim - odrzekła, z trudem chwyając oddech.

Maxim porwał ją w ramiona, zaniósł do sypialni i delikatnie położył na szerokim łóżu z misternie rzeźbionym wezłowiem, w błękitnej, adamaszkowej pościeli.

Po chwili oboje dali się porwać burzy zmysłów, która nadciągała coraz szybciej, z ogromnym impetem, aż wreszcie porwała ich oboje.

Gdy wreszcie, ukojeni, szczęśliwi i spełnieni opadli na poduszki, Fran zamknęła oczy, westchnęła z rozkoszą i uśmiechnęła się do siebie. Oto przed chwilą kochała się z mężczyzną swoich marzeń. Marzeń, które stały się rzeczywistością. Oto bajka, której bohaterką została nie mała dziewczynka, ale dorosła kobieta.

Fran starała się odsunąć od siebie wszelkie myśli, zapomnieć o realiach obecnej sytuacji. Pragnęła nade wszystko, by ta chwila trwała jak najdłużej. Chciała powiedzieć Maximowi, jak wiele dla niej znaczy. Wiedziała jednak, że musi postępować rozważnie i odważnie. Musi być silna.

- Może powinnam wrócić do swego pokoju...

- Nigdzie nie pójdziesz - szepnął jej do ucha Maxim i objął ją tak mocno, że ledwo mogła odetchnąć.

- Ktoś mnie może zobaczyć, jak się tu skradam późnym wieczorem czy ukradkiem wychodzę rano. - Fran niechętnym wysiłkiem woli oswobodziła się z ramion, które władczo ją obejmowały i usiadła na łóżku.

- Podobno mieliśmy spędzić resztę twojego pobytu w moim łóżku? - zagadnęła Maxim tonem nadąsanego dziecka.

Bardzo pragnęła spędzić w jego łóżku całą wieczność... Ale przecież to było w ogóle nie do pomyślenia, więc lepiej jeśli opuści go już teraz, kiedy nieuniknione rozstanie nie będzie jeszcze tak bolesne.

Ale Maxim znów wyciągnął do niej ręce, zatopił w jej pociemniałych oczach swoje błękitne, uwodzicielskie spojrzenie i nie tyle poprosił, ile rozkazał:

- Francesco, wracaj do łóżka.

Czy można się oprzeć wodzie, gdy się jest na pustyni?

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Fran uśmiechała się do siebie, wbiegając lekko po zamkowych schodach. Tego ranka wierzyła święcie, że zwierzęta potrafią śpiewać melodie z najpiękniejszych musicali, że złe królowe mogą posyłać niewinnym królewnom zatrute jabłka i że istnieją przystojni królewicze, którzy za dnia walczą ze smokami, a nocą zalecają się do wybranek swego serca.

Wietrzyk od morza pieścił jej opadające na ramiona włosy, a promienie porannego słońca delikatnie grzały odsłonięte, opalone ramiona.

Nigdy sobie nie wyobrażała, że człowiek może być tak niewiarygodnie szczęśliwy, tak przepelniony miłością, że po prostu stąpa z głową w obłokach.

Skinęła kamerdynerowi na powitanie i weszła do monumentalnego holu. Aby uniknąć plotek, wołała wymknąć się z latarni morskiej i, zanim służba się obudzi, wejść niepostrzeżenie do swego pokoju.

- Dzień dobry, pani doktor.

Zaskoczona, Fran zatrzymała się i odwróciła głowę. Z drzwi biblioteki wychodził właśnie król, ubrany w sportową, tweedową marynarkę i nienagannie wyprasowane flanelowe spodnie.

- Dzień dobry, wasza królewska mość.

- Piękny mamy dziś ranek.

- Tak, rzeczywiście. - Fran z niezadowoleniem usłyszała, że popiskuje niczym mała, wystraszona myszka.

- Wczesnie pani dziś wstała.

- Tak, właśnie byłam...

- Pewnie w stajni, u Glindy i jej małych?

- Właśnie. - Po co to kłamstwo, które tak łatwo jej przyszło? Po co ta cała komedia? Przecież król z pewnością się domyśla, skąd ona właśnie wraca, pomyślała Fran, instynktownie poprawiając włosy.

Zmarszczyła brwi. Tak, król zapewne się domyśla, ale mimo to z niezwykłym taktem zadaje jej pytania. Prawdziwy dżentelmen. Nie chce wprawić jej w zakłopotanie.

Król potarł dłonią brodę i spojrzał na nią dobrotliwie.

- Mówił mi Charlie, że ma pani wśród piesków swojego ulubieńca.

- Wszystkie są urocze, ale muszę przyznać, że najbardziej przywiązałam się do tego, który ostatni przyszedł na świat.

- Może chciałaby go pani zabrać do Ameryki?

- Naprawdę mogłabym? - bąknęła Fran nieśmiało, zaskoczona tą propozycją.

Król uśmiechnął się do niej ciepło i skinął głową.

- Teraz jest jeszcze za mały, ale... - mówiąc to zawiesiła głos, pełna nadziei.

- Dostarczymy go pani, kiedy tylko przyjdzie odpowiednia pora - powiedział król. - To żaden problem.

Fran zaniemówiła z wrażenia. Król okazał się nie tylko prawdziwym dżentelmenem, ale także człowiekiem wspaniałomyślnym.

- To będzie mój podarunek dla pani. Podziękowanie za ciężką i ofiarną pracę.

- Wasza królewska mość, ja po prostu wykonuję zadanie, do którego zostałam zaangażowana. Doprawdy, moje wynagrodzenie jest aż nadto wystarczające.

- Ale ja pragnę go pani podarować, Francesco - powiedział z naciskiem król.

Fran zaniepokoiła się. Czy król zwracał się do niej przedtem po imieniu? Nie, chyba nie.

Czuła, że coś w trawie piszczy, ale nie umiała tego sprecyzować.

- Llandaron jest cudownym miejscem na ziemi - odezwał się znowu król. Tym razem jednak uśmiech zniknął z jego oczu, które stały się poważne. - Ale jego czar może być złudny.

Kobieca intuicja podpowiedziała Fran, że ofiarowanie jej Lucky'ego przez króla nie jest w gruncie rzeczy wyrazem hojnego podziękowania za dobrze wykonaną pracę. Prawdziwy motyw miała zaraz poznać...

- Prawda jest taka, że nie żyjemy tu jak w jakimś baśniowym kraju - ciągnął dalej król. - W każdym razie nie żyje tak rodzina królewska. Nie dla nas luksus pograżania się w słodkich marzeniach. Najważniejsze jest dobro naszego ludu. Musimy mu zagwarantować bezpieczeństwo i stabilizację. Mamy względem niego wiele, bardzo wiele obowiązków.

Niczym Alicja w krainie czarów, Fran poczuła, jak pod wzrokiem króla kurczy się i staje się malutka. Nie chodziło o to, że wyczuła w jego słowach jakiś brak życzliwości. Wprost przeciwnie, w oczach króla dostrzegła zaniepokojenie

I żal.

Z pewnością było mu przykro, że musi ją w ten sposób ostrzec.

W sercu Fran nastrój euforii ustąpił melancholii. Powinna powiedzieć królowi, że wszystko rozumie i że pod koniec przyszłego tygodnia wyjedzie z Llandaronu bez jakichkolwiek złudzeń co do intencji jego syna.

Jednak, szczerze mówiąc, nie potrafiła porzucić tych złudzeń. Zwłaszcza dzisiejszego ranka. To idiotyczne, pomyślała, ale wciąż żywi nadzieję, że Maxim ją pokocha.

Gdy król i Fran stali tak przez chwilę, zatroskani oboje i niepewni, jak zaradzić powstałej sytuacji, ozwał się za nimi kobiecy głos:

- Oliverze, gdzie ty się podziewasz?

Zerknąwszy przez ramię, Fran ujrzała w drzwiach saloniku kobietę w bladożółtej sukni, tę samą, która poprzedniego dnia zjawiała się w stajni.

- Już idę, Faro - powiedział król, uśmiechając się łagodnie do Fran. - Proszę mi wybaczyć, pani doktor, ale moja siostra uparła się, żeby o tej porze zjeść śniadanie. Ostatnie dwa miesiące spędziła w Indiach i właśnie stamtąd wróciła. Jeszcze nie zdążyła przestawić się na nasz czas.

- Oczywiście - rzekła Fran, skłaniając głowę.

Gdy odprowadzała króla wzrokiem, spostrzegła, że księżna Fara, jak się okazało, jego siostra, a ciotka Maxima, mrugnęła do niej porozumiewawczo, po czym zniknęła za drzwiami.

Jeszcze jedna osoba z królewskiego klanu, pomyślała Fran, już nie wbiegając lekko po schodach, ale mozolnie się po nich wspinając. Zapewne także i ona przedkładała nade wszystko dobro swoich poddanych. Fran całkowicie rozumiała i podziwiała taką postawę. Więc skąd ten wewnętrzny opór? Przecież jest dorosłą, odpowiedzialną kobietą i winna rozumieć, co znaczą honor i poczucie obowiązku. Powinna pogodzić się z losem i, co ważniejsze, z decyzjami innych.

Mimo to, na samą myśl, że już nigdy nie ujrzy mężczyzny, którego pokochała, serce ścisnęło się jej z żalu.

Weszła do swego pokoju, rzuciła się na łóżko, nienagannie zaścielone przez pokojówkę, i wtuliła twarz w poduszkę. Słowa króla, a raczej jego ostrzeżenie, podziały na nią jak kubeł zimnej wody. Maxim nie jest księciem z bajki dla swojego ludu, chociaż może tak wygląda, lecz

człowiekiem z krwi i kości, który ma obowiązki wobec mieszkańców tego kraju. Człowiekiem, którego przyszłość nie należy wyłącznie do niego.

Fran postanowiła sobie, że przez następne dziewięć dni ani przez chwilę o tym nie zapomni. Po pierwsze, musi zrozumieć i uszanować realia tej sytuacji, a po wtóre, trzeba, żeby opuściła ten kraj z godnością i bez rany w sercu.

Maxim spojrział na nią znad szachownicy i rzekł:

- Pragnę zauważyć, że schrupałaś wszystkie chipsy.
- To dlatego, że chyba z pół godziny zastanawiałeś się nad następnym ruchem.

Maxim zaśmiał się pod nosem, ale nie odwrócił oczu od jej twarzy. Fran wyglądała tak pięknie w srebrzystej poświacie księżyca padającej od strony okna i złocistego blasku ognia płonącego na kominku.

Zanim ją poznał, Maxim rzadko spotykał się z jedną i tą samą kobietą dłużej niż przez tydzień. Po tym czasie po prostu tracił zainteresowanie. Jedna z jego przyjaciółek miała na przykład fantastyczną figurę, druga natomiast była wyjątkowo inteligentna. Ale żadna nie łączyła obu tych zalet.

A Francesca miała po prostu wszystko. Żywą inteligencję, urodę, poczucie humoru, zapał, wyrozumiałość, dobre serce. Byli razem już prawie tydzień, w mieście, na plaży, w łóżku, a Maxim wciąż miał wrażenie, że dopiero zaczyna ją poznawać.

- Ostrzegam cię - powiedziała z kokieteryjnym uśmiechem - że jeśli będziesz rozmyślał nad każdym ruchem dłużej niż pięć minut, sprzątnę ci sprzed nosa wszystkie paluszki z serem, a na dodatek twój koktajl owocowy. I nie wyobrażaj sobie, że mnie zmusisz, abym się poddała.

- Abyś się poddała? - powtórzył niewinnie Maxim.

- Pewnie sądzisz, że nie widzę, do czego się przymierzasz. Ale nic z tego. Zamierzam wygrać tę partię.

- Chyba oszalałaś. Spójrz tylko na moją pozycję na szachownicy.

- Możesz być pewien, że dobrze się jej przyjrzałam. I właśnie dlatego jestem pewna wygranej.

- Może znów chciałabyś się założyć? - uśmiechnął się Maxim.

- Świetnie.

- A o co tym razem?

- Proponuję, żeby po każdej stracie bierki gracz musiał zdjąć z siebie jedną część garderoby. Ciekawe, jaki będzie efekt...

- Zgoda, świetny pomysł - oświadczył z zapałem Maxim. - A więc, idziemy na całość - dodał, i gońcem sprzątnął jej pionka.

- Nie będzie to może najbardziej finezyjna rozgrywka -zaśmiała się Fran, zdejmując z ucha złoty kolczyk - ale za to szybko dobrniemy do końca partii.

Mówiąc to wzięła głęboki oddech i błyskawicznym ruchem zabiła gońca hetmanem.

Maxim w uśmiechu pokazał zęby i szybko rozpiąwszy guziki koszuli zdjął ją i niedbale rzucił na dywan, po czym, niewiele myśląc, zabił pionkiem jej pionka.

Fran rozłożyła ręce dramatycznym gestem i patrząc na niego spod rzęs, zdjęła drugi kolczyk.

- Więc to tak? - odezwał się Maxim z udawaną pretensją w głosie. - Masz zamiar zrobić mnie w konia?

- Ja to? - zapytała Fran z miną niewiniątka.

- Bizuteria się nie liczy.

- Zgoda, skoro zamierzasz być tak zasadniczy...

Fran nachyliła się, schowała głowę pod stół i po krótkiej chwili zademonstrowała dwa adidasy, które trzymała za sznurowadła.

- Mizerny postęp - skonstatował Maxim - ale przynajmniej zachowujesz w ten sposób resztki uczciwości.

Francesca rzuciła buty na dywan i skupiła się nad szachownicą. Po krótkim namyśle wykonała ruch skoczkiem, zasadzając się na hetmana przeciwnika.

- Uważaj, moja droga, jak tak dalej pójdzie, nie minie dziesięć minut, a wykonasz całkowity striptiz - ostrzegł ją Maxim.

- Nie licz na to - odparła butnie Fran.

Dziesięć minut później Maxim siedział naprzeciwko niej w samych dżinsach, bez butów, skarpetek i paska od spodni. Ale i Fran musiała pozbyć się kilku części garderoby, została tylko w bluzce, staniku i czarnych koronkowych figach.

Maxim, nie mogąc się doczekać finału tej partii, zabił hetmanem jej skoczka.

Fran westchnęła głęboko i zdjęła bluzkę, pod którą miała tylko cieniutki jak mgiełka, czarny stanik. Pochyliła się nad szachownicą i natychmiast sprzątnęła Maximowi gońca.

- Dziękuję ci, że mi go tak podstawileś - powiedziała z triumfalnym uśmiechem.

- No cóż, pani doktor, wygląda na to, że oboje mamy problemy z koncentracją - zauważył Maxim, ściągając dżinsy.

- No, jeszcze chwila, a mój szanowny przeciwnik zostanie w stroju Adamowym - oznajmiła Fran, ciesząc się z góry na zwycięstwo.

- To się jeszcze zobaczy - odparł Maxim, który nie miał zamiaru dać za wygraną.

Skupił się, ocenił trzeźwo sytuację i, myśląc na parę ruchów naprzód, ujrzał zakończenie tej rozgrywki. Gdyby tylko chciał, mógłby w trzech ruchach dać Francesce mata. Ale nie zamierzał przyspieszać końca tej partii. Fran miała przecież jeszcze na sobie dwie części garderoby, jeśli tak można nazwać te skrawki cieniutkiej, czarnej koronki... Bardziej niż łatwego zwycięstwa, Maxim pragnął widoku tego, co przesłaniały.

Zabił jednego z ostatnich pionków Fran, po czym wygodnie oparł się w fotelu.

- Przeoczyłeś znakomity ruch - odezwała się Fran ze zdziwieniem.

- No cóż, niełatwo się skupić, kiedy ma się przed sobą taki widok - zauważył Maxim. - I kiedy czeka się na jeszcze piękniejszy.

Fran tymczasem zbliżyła gońca do jego króla.

- Szach - rzuciła krótko.

Maxim zatarł ręce. Fran najwyraźniej była rozkojarzona. Jego hetman, przyczajony w rogu, tylko czekał na taką okazję.

Maxim wziął go delikatnie w dwa palce i powolutku zaczął przesuwając po szachownicy.

- Nie zrobisz tego! - wykrzyknęła Fran.

- Ależ zrobię, droga pani doktor. Muszę wreszcie zobaczyć, co kryje się pod tą delikatną koronką.

Gdy Fran odpięła i zsunęła stanik, Maxim westchnął przeciągle i przymknął oczy, jakby poraził go ten upragniony widok jej krągłych, jędrnych piersi.

Po krótkiej chwili wstał, podszedł do niej, pocałował ją w usta i szepnął:

- Zamknij oczy, Francesco. I posłuchaj.

Pochylił się nad szachownicą i jednym ruchem wskazującego palca trącił swojego króla, który przewrócił się ze stukotem.

- Słyszałaś?

Fran skinęła głową.

- Poddaję się.

Fran natychmiast otworzyła oczy i grzbietem dłoni przewróciła swojego króla.

- A więc oboje przegraliśmy - szepnęła zduszonym głosem. - I oboje wygraliśmy.

Teraz nic już ich nie dzieliło.

Stanęli naprzeciw siebie niczym Adam i Ewa, spragnieni dotyku swoich gorących, nagich ciał, pieszczot, pocałunków, spragnieni siebie, niecierpliwie oczekujący spełnienia.

Czas pędził, ulatywał jak mewy nad ich głowami na tle błękitnego nieba, usianego małymi, puszystymi obłoczkami.

Idealny dzień na wędkowanie u boku ukochanego mężczyzny, pomyślała Fran, mając nogami na drewnianym pomoście tuż nad wodą.

- Czy minęło osiem godzin, czy może osiem dni? - zagadnęła Maxima, który właśnie zarzucił wędkę.

- Nie Uczyłem, i ty też lepiej tego nie rób - odparł, zapatrzony w spławik, tak, jakby na świecie nie istniało nic ważniejszego. W szortach, które odsłaniały jego pięknie umięśnione i opalone nogi, i w bawełnianej koszulce w biało-granatowe paski prezentował się znakomicie, młodzieńczo i beztrosko. W tej chwili nie był księciem, ale zwykłym mężczyzną kochającym życie i nie przytłoczonym żadnymi powinnościami. Fran prawie zapomniała, kim oboje są i gdzie się znajdują. Prawie.

Wyciągnęła żyłkę z wody, aby sprawdzić czy robak wciąż jest na haczyku.

- Wiesz, dawno temu, kiedy ojciec zabrał mnie na ryby, niewiele brakowało, żebym złowiła właśnie jego.

- Jak to się stało?

- Tak niefortunnie zarzuciłam wędkę, że haczyk utkwił mu w uchu. Bardzo się przestraszyłam. Nie przypuszczałam, że ucho może tak silnie krwawić.

- To niezwykła historia - powiedział Maxim z zaciekawieniem. - Nieczęsto wspominasz o swojej rodzinie, Fran.

Miał rację. Jej rodzinne wspomnienia nie należały do najszczęśliwszych i Fran niezbyt chętnie do nich powracała. Ale skoro już zaczęła mówić...

- Właściwie to nie mam już rodziny. Moja mama zmarła, kiedy byłam jeszcze małą. A potem, kiedy umarł ojciec, mieszkałam z macochą i dwoma przyrodnimi braćmi. Nigdy się nie zgodzaliśmy.

- Jak sądzisz, dlaczego?

- Po prostu nie nadawaliśmy na tej samej fali - Fran wzruszyła ramionami. - To nie są źli ludzie. Po prostu różnimy się między sobą. Nie myślę o nich jak o swojej rodzinie. Jakie to szczęście, że ty masz rodzinę, która cię kocha.

Maxim nie do końca zgadzał się z taką oceną, ale nie chciał się wdawać w dyskusję na ten temat. Zamiast tego, postanowił wyjawic Fran pewien istotny fakt ze swojej przeszłości.

- Moja mama też zmarła, kiedy byłem jeszcze mały. Na zapalenie płuc.

- Bardzo mi przykro.

- Mnie także - powiedział Maxim. - Mama miała zupełnie inny stosunek do życia, do Llandaronu. Podobnie jak ty, uważała, że każdy ma prawo wyboru.

- Żałuję bardzo, że jej nie znałam.

- Francesco - zwrócił się do niej Maxim z powagą w głosie. - Czy miałaś nadzieję, że z Dennisem założysz rodzinę?

Fran skinęła głową.

- Bardzo mi przykro, jeśli z mego powodu...

- Nie, Maxim, to nie z twego powodu. Dennis jest moim przyjacielem, ale dobrze, że nie będzie moim mężem. - Fran spojrzała na morze, na którego falach kołysała się w oddali łódź rybacka. - Wszystko działo się za szybko. Następnym razem muszę uważać, żeby nie brać zbyt dużego tempa.

- Następnym razem? - Maxim zadał to pytanie z pozoru lekkim tonem, ale Fran mogła przysiąc, że wyczuwa w jego głosie cień irytacji.

- No tak - potwierdziła Fran. - Dam sobie dużo czasu, żeby się przekonać, czy ewentualny kandydat do mojej ręki nadaje się na męża. - Starła się, by zabrzmiało to rzeczowo i obojętnie, a przecież w głębi duszy świetnie wiedziała, że, poza Maximem nie wyobraża sobie innego kandydata na męża.

- Wiesz, wolałbym nie kontynuować tej rozmowy - powiedział Maxim.

- Zupełnie się z tobą zgadzam.

Szum fal bijących o brzeg i krzyk mew wypełniły ciszę, która nastąpiła między nimi. Po chwili jednak Maxim wyciągnął z wody żyłkę i odłożył wędzisko na pokład.

- Chodźmy popływać - rzucił.

- Nie mam kostiumu. Maxim spojrzał na nią pytająco.

- No i... woda jest jeszcze zimna - wybąkała Fran.

- Nie martw się, już ja cię rozgrzeję.

- Jeśli tak, to zgoda.

Gdy zrzucili z siebie ubrania i zanurzyli się w wodzie, Maxim otoczył Fran ramieniem i przyciągnął ją do siebie, ona zaś zamknęła oczy, delektując się jego bliskością, i starała się nie myśleć o tym, że za trzy dni będzie wracała samolotem do Kalifornii.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zapowiadał się ciepły, słoneczny dzień. Fran zrzuciła adidasy i z rozkoszą postawiła stopy na chłodnej trawie. Od morza szły podmuchy orzeźwiającej bryzy, powietrze pachniało lekko solą, jodem i późnowiosenną zielenią.

Pod starą wielką brzozą Charlie ustawił kojec dla piesków, które rosły jak na drożdżach i były pełne radości życia.

Szczególnie radosny był jej kochany, mały Lucky, wesoły rozrabiaka. Głaszcząc go między uszkami Fran zastanawiała się, czy król dotrzyma swojej obietnicy i przyśle jej Lucky'ego, kiedy tylko będzie już dość duży.

Miała szczerą nadzieję, że tak się stanie. Już teraz serce jej pękało na myśl o tym, że wyjeżdżając zostawi tu wszystko, co zdołała pokochać, i że pozostaną jej tylko wspomnienia.

Przypomniała sobie właśnie, jak poprzedniego dnia, pod pretekstem, że chce się upewnić, czy dobrze zrozumiał wszystkie instrukcje dotyczące opieki nad szczeniakami po wyjeździe Fran, zjawił się w stajni Ranen. Jednak kiedy tylko ujrzał Fara, która na trawniku grała w krokiet, natychmiast zostawił psy i ruszył w jej stronę.

Nawet dziecko by zauważyło, że Ranen kocha się w księżniczce. Wodził za nią rozmarzonym wzrokiem i w ogóle był zupełnie odmieniony, kiedy była w pobliżu. Uśmiech nie opuszczał jego twarzy. Fran także bezwiednie się uśmiechała, obserwując tę niezwykłą parę. Fara była ubrana w elegancką bladoliliową plażową suknię, Ranen zaś miał na sobie poplamione spodnie i szarą koszulę ze zgrzebnego płótna.

Podobno przeciwieństwa się przyciągają, pomyślała Fran. Czy rzeczywiście? A ona i książę?

Maxim.

Jego imię stale pobrzmiewało w jej myślach. Bardzo za nim tęskniła, chociaż wyjechał do Londynu w interesach tylko na jeden dzień. Ale jakże szkoda jej było nawet tego jednego dnia! Niewiele już zostało im czasu. Nazajutrz miał się odbyć bal na zamku, a następnego dnia Fran zamierzała odlecieć do Kalifornii.

Łzy zakręciły się jej w oczach, ale je powstrzymała. Przecież musi przywyknąć do myśli o rozstaniu. Trudno, tęsknota będzie odtąd jej chlebem powszednim.

- Jej wysokość znowu mnie pokonała

Do Fran zbliżał się Ranen w towarzystwie księżnej Fary.

- Nie wierz temu mężczyźnie - powiedziała Fara z błyskiem w oczach.

- Wielkodusznie pozwolił mi wygrać.

- Wcale nie jestem wielkoduszny - burknął Ranen, siadając na trawie obok Fran.

- Oczywiście, że jesteś - zaśmiała się księżniczka.

- Ach, te kobiety! - westchnął Ranen z udaną rezygnacją. Fran zauważyła, że lekko się zaczerwienił.

- Proponuję, byście ogłosili remis. Maxim i ja właśnie...

Gdy usłyszała wypowiedziane przez siebie słowa, nagle zamarła z wrażenia. Maxim i ja! Czy spostrzegli rumieniec, który oblał jej twarz? Co jej przyszło do głowy, żeby coś takiego powiedzieć?

Oczywiście, sporo ludzi wiedziało, że księżę i ona spędzają razem wiele czasu jako przyjaciele, a nawet może coś więcej, ale to jeszcze nie powód, żeby wyrażać się tak familiarnie... Równie dobrze mogła sobie przypiąć odznakę z napisem: Kocham księcia Maxima.

- Coś mówiłaś, moja droga? - z dobrotliwym uśmiechem starała się ją ośmielić księżniczka Fara.

Fran odwzajemniła jej uśmiech, mówiąc:

- Tylko to, że najlepiej, kiedy wygrywają obie strony.

- Ta dziewczyna ma rację, Ranenie.

- Ta dziewczyna jest romantyczką.

- A cóż w tym złego? - zapytała Fara, wygładzając spódniczkę na kolanach. - Jeżeli dobrze pamiętam, to ty także byłeś w swoim czasie romantykiem.

- To było bardzo, bardzo dawno temu - mruknął Ranen.

- Doprawdy? No cóż, skoro tak, to nie powinnam cię chyba prosić, byś mi towarzyszył jutro na balu.

- Nonsens, Fara! - ożywił się Ranen. - Sama wiesz, że będę się czuł zaszczycony.

Księżniczka, która zapewne od początku spodziewała się takiej odpowiedzi, w podziękowaniu skinęła głową, po czym zwróciła się do Fran:

- Jeśli już mowa o balu, moja droga, to w co się zamierzasz ubrać?

W co się ubrać? Fran jeszcze w ogóle o tym nie pomyślała. To będzie jej ostatnia noc w Llandaronie - ostatnia noc u boku Maxima. Naturalnie, chciała wyglądać jak najładniej, kiedy Maxim ujrzy ją w sali balowej, kiedy przytuli ją do siebie i będzie z nią tańczył do białego rana.

- Mam ze sobą czarną sukienkę koktajlową.

- Ach nie, moja miła - księżniczka położyła jej delikatnie dłoń na ramieniu. - To nie byłby odpowiedni strój.

- Trudno, nie mam niczego...

- Ale ja mam - przerwała jej Fara z błyskiem w oczach. - Czy zechcesz pójść ze mną i przymierzyć kilka sukien?

Fran poczuła dreszczyk podniecenia. Wyobraziła sobie siebie we wspaniałej, królewskiej szacie, całą w jedwabiach i burzy koronek... Serce zabiło jej szybciej.

- Bardzo bym chciała, ale nie powinnam opuszczać psiej rodziny...

- Ja tu przy nich posiedzę, panienko - ofiarował się Ranen, uśmiechając się szeroko do obu kobiet. - W końcu to ja będę ich opiekunem, kiedy wrócisz do Ameryki.

- Dziękuję ci, Ranenie - odpowiedziała Fran, wstając z koca na trawie.

- Spotkamy się o w pół do ósmej?

- Oczywiście, wasza wysokość.

Kiedy Fara i Fran wstępowały po stopniach wiodących na zamek, księżniczka zwróciła się do niej, podniecona perspektywą ujrzenia pięknej Amerykanki w stroju godnym jej urody.

- Myślę, że będzie ci świetnie w mojej białej sukni bez ramiączek, z dopasowaną talią i sutą spódnicą. Już widzę, jak wchodzisz w niej na salę, z wysoko upiętymi włosami i blaskiem w oczach. Pożyczę ci też jeden z moich diademów.

- Ach, dziękuję, ale przecież nie mogę...

- Ależ możesz, musisz.

Drzwi otworzył im kamerdyner. Fara szybko weszła do holu, a potem zaczęła lekko wbiegać po schodach.

- Pewnego wieczoru - powiedziała, odwracając głowę do Fran, która szła za nią - kiedy miałam na sobie tę suknię, mgła była tak gęsta jak aksamitna biała zasłona i ustąpiła dobrze po siódmej. Bo widzisz, kiedy wycofuje się wcześniej lub później niż normalnie, wiadomo, że zaczynają działać czary-

Fran stanęła w oczach scena w łódce, kiedy mgła osłaniała ich pieszczoty. Tak, to były czary...

- Pamiętam, jak moja pokojówka powiedziała, że wydarzy się coś bardzo ważnego. I okazało się, że miała rację. Tego wieczoru mój ojciec wydawał przyjęcie. Kiedy weszłam do sali jadalnej, natychmiast wpadł mi w oczy przystojny, ciemnowłosy mężczyzna o czarnych oczach. Francuz. Adwokat. Natychmiast mi się spodobał.

- To brzmi intrygująco - zauważyła Fran, gdy przechodziły razem przez hol na piętrze. I coś jej to przypominało...

- Spędziliśmy razem cały wieczór. Rozmawialiśmy, jedliśmy kolację, tańczyliśmy. Patrzył na mnie tak, jak do owego dnia nie patrzył żaden mężczyzna. Wyobraziłam sobie, że się w nim zakochałam. I kiedy pożegnał się i wyszedł, nie mogłam myśleć o niczym tylko o nim.

- I co było dalej?

- Wciąż do mnie pisał długie listy i ciągle prosił, bym do niego przyjechała.

- I co?

- Nie zrobiłam tego.

- Dlaczego?

- Chyba wiesz dlaczego, moja droga. Ta sprawa dotyczyła nie tylko mnie. - Księżniczka stanęła w progu i spojrzała Fran prosto w oczy:

- I chociaż uszanowałam swój kraj i pozycję w rodzinie królewskiej, już nigdy nie wyszłam za mąż. Po prostu nie mogłam. Oddałam serce tamtemu.

Fran westchnęła cicho. Dlaczego księżniczka jej to opowiada? Jaki morał ma dla niej wyniknąć z tej historii? Czy powinna namówić Maxima,

by dla niej wyrzekł się swych zobowiązań? Czy może lepiej, by wróciła do domu, zrozumiała jego położenie i pogodziła się z losem?

- I co było dalej, wasza wysokość? - zapytała Fran, starając się ukryć niepokój, który ją ogarnął. - Czy jeszcze kiedyś go pani widziała?

- Tylko w snach - uśmiechnęła się smutno Fara, dotykając dłoni Fran. - Może Maxim będzie miał więcej odwagi, niż jego ciotka Dla dobra nas wszystkich, mam szczerą nadzieję, że tak się stanie - dodała otwierając drzwi swojej sypialni.

Gdy Maxim wchodził do latarni morskiej, mgła powoli się rozpraszala. Kiedy znalazł się w środku, powitały go smakowite zapachy. Zapachy, jakich nie czuł od czasów dzieciństwa. Na komódce w holu ujrzał torebkę Fran, która zawsze ją tam kładła. Ogarnęło go uczucie zadowolenia i spokoju. Jak dobrze wracać do domu, w którym ona na niego czeka...

- Co się tu właściwie dzieje? - zawołał z udanym niepokojem.

- Niech wasza wysokość pozwoli do kuchni. Jak dobrze słyszeć jej głos...

Od blisko piętnastu lat, kiedy przychodził do domu, słyszał jedynie szum fal. I zawsze lubił i cenił swoją samotność. Kiedy jednak w jego życie wkroczyła Francesca Elf, wszystko się zmieniło. Zmienił się on sam. Zaczął jej potrzebować. I, co najważniejsze, dzięki niej łatwiej mu się było pogodzić z brakiem osobistej wolności.

Skacząc po dwa stopnie, Maxim pobiegł na górę i stanął w drzwiach kuchni.

Przy kuchni stała Francesca w prostej, bawełnianej sukience plażowej w różnych odcieniach błękitu. Maxowi serce zabiło mocniej na widok tej domowej sceny. Fran wyglądała tutaj tak, jakby to było jej miejsce.

- Jak ci minął dzień? - zapytała, kiedy podszedł do niej i pocałował ją w policzek.

- Nieźle - odparł, stanął za nią i objął ją w pasie. - Ale teraz jest mi jeszcze lepiej.

Tak ładnie pachniała i dobrze było być blisko niej. Dlaczego nie mogło tak być każdego wieczora? Tylko we dwoje, wspólna kolacja, dzielenie się życiem...

Nie, nie wolno mu w ogóle o tym myśleć.

- Nie musiałaś zadawać sobie tyle trudu, Francesco. Mogłem przecież...

- Ale sprawia mi to przyjemność - powiedziała Fran, przytulając się do niego.

- Pachnie wspaniale. Co to takiego?

- Twoje ulubione danie. Pieczony schab nadziewany śliwkami.

Te zapachy i słowa Franceski wywołały falę wspomnień. Dawno, dawno temu, jego matka zażądała, by kucharz zamkowy w każdą niedzielę przygotowywał dla niego to danie- Serce ścisnęło mu się z żalu. Od czasu, kiedy stracił matkę, nikt o to nie dbał.

- Dziękuję ci - szepnął i pocałował ją w szyję. - Ale skąd się dowiedziałaś, że uwielbiam schab ze śliwkami?

- Od twojej ciotki.

- Rozmawiałaś z Farą?

- Bardzo dużo się od niej dowiedziałam. Długo gawędziłyśmy o tobie, kiedy byłeś jeszcze małym chłopcem.

- Coś podobnego - zaśmiał się Maxim.

- Powiedz mi, jak mogłeś przywiązać do drzewa swoją siostrę i spokojnie sobie odejść?

- To była tylko zabawa. Cathy udawała Angielkę, a ja Szkota.

Zostawiłem ją tylko na godzinę, poszedłem po lemoniadę dla nas obojga.

- A ja ci nie wierzę - zaśmiała się Fran i zajrzała do piecyka. - Ale odpuszczę ci dalsze śledztwo w tej sprawie, bo twoje ulubione danie jest już gotowe.

Księżniczka klasnęła w dłoń.

- Francesco, ani Maxim, ani żaden z setki mężczyzn na tym balu nie będzie w stanie oderwać od ciebie oczu!

Patrząc w olbrzymie lustro Fran ujrzała kobietę, której nigdy przedtem nie widziała. Lśniące jasne włosy miała wysoko upięte, złote kędziorki oplatały diamentowy diadem, który pożyczyła jej Fara. Dyskretny makijaż podkreślał jej naturalną urodę, a w oczach lśniło radosne oczekiwanie i podniecenie.

Śnieżnobiała suknia z jedwabiu i tiulu spowijała ją lekko jak mgiełka i wyglądała dokładnie tak, jakby była na nią szyta. Dekolt i skraj szerokiej spódnicy zdobił przepiękny, misterny haft w czarnym kolorze. Białe rękawiczki do łokcia i srebrne czółenka na bardzo wysokich szpilkach uzupełniały strój.

Fran mogłaby przysiąc, że z lustra spogląda na nią ciemnooka księżniczka. Niestety, aż nadto dobrze wiedziała, że to nieprawda.

Ale tego wieczora nie zamierzała w ogóle o tym myśleć. Niech się dzieje co chce, ale na balu będzie Kopciuszkiem. Uniosła spódnicę i uśmiechnęła się, spoglądając na swoje pantofelki. Niestety, nie były szklane, ale za to jakie wygodne...

- Jesteś gotowa, moja droga? - zapytała Fara, spoglądając w to samo lustro i poprawiając swój diadem, wysadzany szafirami.

Fran uśmiechnęła się do tej urodziwej starszej damy, ubranej w elegancką, błękitną suknię.

- O tak, Wasza Księżęca Wysokość.

- Wyglądasz prześlicznie.

- Dziękuję. I nie tylko za ten piękny strój. Dziękuję za wszystko.

Księżniczka dotknęła dłonią jej policzka, uśmiechnęła się w odpowiedzi i poprowadziła ją do holu, ale nie zwykłą drogą, lecz przez sekretne przejścia i korytarze, których Fran nigdy przedtem nie widziała, ani się nie domyślała ich istnienia.

Po kilku minutach usłyszały gwar ożywionych głosów gości i dźwięki muzyki.

- No, już prawie jesteśmy na miejscu - oznajmiła księżniczka Fara, kiedy stanęły na podeście u szczytu paradnych schodów wiodących na dół wprost do sali balowej. Fran ogarnęło podniecenie, połączone jednak z pewnym niepokojem. Poniżej sala balowa pełna już była gości, którym kelnerzy podawali kieliszki szampana i tartinki z kawiozem. Damy we wspaniałych, barwnych sukniach tańczyły właśnie walca z panami w smokingach.

Gdy zeszły na dół, Fran z podziwem rozejrzała się po sali. Olbrzymie lustra odbijały rozjarzone tęczowym światłem kryształowe żyrandole, wysokie sklepienie przedstawiało rozgwieżdżone granatowe niebo i srebrny sierp wschodzącego księżyca. Na ścianach w bogatych, złożonych ramach widniały portrety rodziny królewskiej. Fran natychmiast rozpoznała na jednym z nich Maxima i serce jej zatrzepotało tak, jakby była młodziutką panią.

W oczach młodej lekarki z Los Angeles była to sceneria zupełnie surrealistyczna, ale tego wieczora Fran postanowiła całkowicie ulec jej

czarowi. U podnóża schodów czekał na nie Ranen, ubrany wyjątkowo na tę okazję w ciemnobrązowy garnitur, białą koszulę i krawat, a przeciwległym rogu sali na przybycie Franceski czekał książę Maxim Stephan Henry Thorne. Przyglądał się jej z zachwytem, jak leciutkim krokiem zstępowała po schodach, owiana obłóczkiem śnieżnobiałej sukni, z migoczącym brylantowym diademem wpiętym w złote włosy.

Stojące obok niego dwie panie usiłowały wciągnąć go w konwersację, on jednak nie był w stanie ich słuchać. Nie potrafił ani na chwilę oderwać oczu od najpiękniejszej kobiety na świecie, eleganckiej i nieco chłodnej, która przypominała mu Odettę z „Jeziora łabędziego”.

Maxim przeprosił panie i ruszył w jej stronę, ale gdy tylko stanęła na lśniącym parkiecie, porwał ją markiz de Petrenburg i poprosił do walca angielskiego, którego właśnie zaczęła grać orkiestra.

A więc to tak, pomyślał Maxim. Powinien był się tego spodziewać. Wszyscy mężczyźni będą się ubiegali o to, by ich jej przedstawiono. Fran była tu osobą nową, pełną życia i gracji, a na dodatek niezwykle piękną. Maxim będzie musiał im pokazać, że Francesca jest już zajęta.

Gdy tylko umilkły dźwięki muzyki, kilku panów skierowało się w jej stronę, by ją poprosić do następnego tańca, ale Maxim zdążył ich uprzedzić.

- Czy ofiaruje mi pani ten taniec, pani doktor?

Fran szybko się odwróciła i spojrzała na niego oczyma pełnymi radości.

- Świetnie się dziś prezentujesz - uśmiechnęła się, mrużąc oczy.

- A ty wyglądasz wprost przepięknie. Nie mogę się na ciebie napatrzeć.

Kiedy orkiestra zaczęła grać tango argentyńskie, Maxim wziął ją w ramiona i zaczęli tańczyć.

Ciekawe, co by było, pomyślał, gdybym pocałował ją tutaj, na oczach wszystkich znamienitych gości? I czy w ogóle obchodzi mnie ich zdanie?

- Wiem, że wiele pań marzy tylko o tym, żeby z tobą zatańczyć - odezwała się po chwili Fran. - Może powinniśmy dać im szansę?

- Nie - odparł zdecydowanie. - Dziś będę tańczył z tobą i tylko z tobą, Francesco.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, muzyka ucichła, a do Maxi-ma podszedł lokaj i, skłaniając z uszanowaniem głowę, powiedział:

- Jego królewska mość życzy sobie porozmawiać z waszą wysokością w bibliotece.

Maxim ścisnął dłoń Fran, obciągnięta długą, białą rękawiczką i szepnął:

- Zaraz wracam.

- Pospiesz się - mrugnęła do niego. - Mamy czas tylko do północy.

- Jak to? - zdumiał się Maxim, którego nagle ogarnął lęk.

- Ach, ja tylko żartowałam. Wiesz... Kopciuszek, księżę, bal, północ...

- Rozumiem - skinął głową Maxim i skierował się do holu. Gdy tylko ją opuścił, do Fran zbliżył się Charles Crawford, znany playboy o ptasim mózdzku i ogromnej pewności siebie.

Maxim idąc korytarzem zacisnął pięści. Tak mało zostało im czasu, a tu ojciec wzywa go na rozmowę. Świetnie wiedział, czego się ma spodziewać, król ostrzegł go przecież, co zamierza oznajmić podczas balu.

Król Oliver siedział w swoim ulubionym, głębokim fotelu z kieliszkiem sherry w ręku.

- Rozmawiałem właśnie z księciem Ernhartu, który zgodził się oddać ci rękę swojej córki.

- Doprawdy? - powiedział z ironią w głosie Maxim, który podszedł do ojca, ale nie usiadł. - To bardzo szlachetnie z jego strony.

- Sarkazm jest nie na miejscu, gdy idzie o sprawy wagi państwowej.

- Lub sprawy sercowe...

- Maximie, przyznasz, że dałem ci szansę wybrania sobie odpowiedniej żony. Ale teraz ty nie pozostawiasz mi wyboru.

- Wszyscy możemy dokonywać wyboru - zauważył Maxim, cytując słowa Fran.

- Llandaron potrzebuje rozwojowej rodziny królewskiej -ciągnął dalej król. - Co do tego nie ma dyskusji.

- To prawda, ojcze - zgodził się Maxim, podszedł do kredensu i nalał sobie kieliszek sherry.

- Teraz to ty jesteś nadzieją naszego ludu.

- Ale mój starszy brat...

- Twój brat po kilku latach małżeństwa nie ma wciąż potomka. I Bóg jeden wie, czy kiedyś go będzie go miał. Nie możemy już dłużej czekać.

Maxim pociągnął łyk wina i usiłował zebrać myśli. Rzeczywistość była okrutna. Czy mógł przeciwstawić się ojcu? Sobie samemu? Nie miał drogi ucieczki. Musiał wybrać to, co dyktowało mu poczucie obowiązku. Zatraskany i zagubiony w miotających nim sprzecznych uczuciach, przeczesał palcami włosy. Gdyby tylko Francesca była...

Czy mógł tej młodej kobiecie, przywykłej do całkowitej wolności, zaproponować życie na uwięzi? Za bardzo ją kochał, by ją skrzywdzić. Z drugiej jednak strony ogromnie jej pragnął i potrzebował. Jak nikogo w życiu.

- O północy ogłoszę twoje zaręczyny. Maxim rzucił ojcu zimne spojrzenie.

- Po co czekać do północy? Jeśli mam oddać życie dla mego kraju, mógłbyś równie dobrze już teraz mnie go pozbawić.

Wiedział, że musi koniecznie odnaleźć zaraz Francescę, wziąć ją w ramiona i spróbować wszystko jej wytłumaczyć, choćby to było dla nich obojga najtrudniejsze.

Ale ona nie potrzebowała jego wyjaśnień. Ukryta za osadzonym w donicy drzewkiem pomarańczowym, uważnie obserwowała wejście do holu i gdy tylko w drzwiach ukazał się Maxim, z wyrazu jego twarzy od razu domyśliła się przebiegu tej rozmowy.

Poczuła się tak, jakby uszło z niej życie, jakby serce przestało jej bić, gdy opuściła ją resztką nadziei, której czepiała się przez ostatnie dni. A więc Maxim się ożeni. Nie z nią, ale z kobietą, której nawet jeszcze nie zna.

Po policzkach potoczyły się jej gorące łzy. Cóż, Maxim dokonał wyboru. Wybrał swój kraj.

Ostrożnie, tak, aby jej nie zauważył, Fran wycofała się w odległy kąt sali, a kiedy zobaczyła, że Maxim zmierza w stronę miejsca, w którym poprzednio ją zostawił, szybko podeszła do drzwi i wyszła do holu. Idąc w kierunku schodów, miała wrażenie, że dusi się w pięknej sukni, w której jeszcze pół godziny temu czuła się jak księżniczka z bajki. Powinna była wiedzieć, że bajki to tylko opowiadki dla dzieci o niewinnych sercach!

Ze łzami w oczach wspięła się po schodach i pobiegła korytarzem do swego pokoju. Nie będzie spokojnie czekała na zapowiedź zaręczyn Maxima. Wszystko, tylko nie to. Jej pobyt w Llandaronie dobiegł końca. Pożegna się tylko szybko z Glindą i z jej małymi, a potem ruszy w drogę.

Zrzuciła z siebie suknię, zdjęła ostrożnie diadem i położyła wszystko na łóżku. Zdaży jeszcze napisać liścik do Fary i podziękować jej za okazaną życzliwość i wspaniałomyślność.

Oczywiście, nie wspomni słowem o Maximie i jego braku odwagi ani o tym, że ona sama już nigdy nikogo nie pokocha, nie wyjdzie za mąż i nie zapomni tego jednego jedyne go mężczyzny, za którego sprawą uwierzyła, że prawdziwa miłość jednak istnieje.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Wyjechała. - Maxim, który z bezsilnej rozpaczycy wciąż odruchowo zaciskał pięści, wszedł do biblioteki w chwili, gdy na zegarze wybiła trzecia nad ranem. Co też on uczynił? Jak mógł do tego dopuścić?

Na kanapie siedział jego ojciec i z niezmaconym spokojem popijał herbatę.

- Nie pojmuję twego wzburzenia, Maximie. Opuściłeś już w życiu tyle kobiet.

- Franceski jednak nie opuściłem - syknął Maxim, rzucając ojcu wrogie spojrzenie. - Ona jest inna od wszystkich.

- Czyżby?

- Tak, do licha! - wykrzyknął Maxim i w gniewie uderzył pięścią w marmurowy gzyms kominka.

Mimo że kamień był twardy, Maxim ledwie poczuł ból. Francesca wyjechała bez pożegnania. Nie dała mu szansy, aby wszystko jej wyjaśnić. Nie chciała go wysłuchać.

Maxim załamał ręce. No tak, sam dokonał tego wyboru, Ale to Fran mu powiedziała, że ma prawo wybierać. To ona mu uświadomiła, że może pragnąć czegoś więcej niż to, co mu ofiarowuje życie. Czemu ona tu przyjechała i zakłóciła jego spokój?!

- Ojczy, jakim cudem Fran zdążyła stąd tak szybko wyjechać i zdążyć na samolot do Ameryki?!

- Ja jej pomogłem.

Maxim odwrócił się w stronę drzwi, skąd dobiegł go nieco ochrypły, męski głos.

Ranen Turk, pykając fajkę, którą trzymał w kąciku ust, wzruszył ramionami i dodał:

- Musiałem jej pomóc, wasza wysokość.
- Dlaczego? - warknął Maxim, który nie panował już nad nerwami.
- Bo mi na niej zależy.
- Mnie także!

Ranen podszedł do Maxima i łagodnie położył mu dłoń na ramieniu.

- Francesca nie chciała tu być w chwili ogłoszenia twoich zaręczyn.
- Moich zaręczyn... - jęknął Maxim, któremu pokój zawirował przed oczami.

- Czy możesz mieć do niej o to żal?
- Nie rozumiem - powiedział Maxim i, zatopiwszy wzrok w oczach ojca, zapytał:

- Powiedziałaś jej?
- Nie - odparł król, rozpierając się wygodniej w fotelu.
- Więc skąd się dowiedziała, że dziś ogłosisz moje zaręczyny? Od kogo?

- Może poznała po twojej minie, kiedy wróciłeś na salę balową? - podpowiedział Ranen. - Wyglądałeś jak z krzyża zdjęty. Sam widziałem - dodał.

- Bardzo mi przykro, Maximie - odezwał się król i westchnął ciężko.
- Naprawdę? - zaśmiał się Maxim ironicznie. - Czy nie tego właśnie pragnąłeś? Czy nie byłoby to idealnym rozwiązaniem? Plebejka znika z horyzontu, a twój syn, przywołany do porządku, spełni wszelkie twoje rozkazy?

Gniew, który narastał w nim od pewnego czasu, znalazł w tej chwili ujście. Maxim poczuł, że trudno mu będzie dalej znosić życie pełne

ograniczeń i obowiązków, pozbawione możliwości dokonywania wyboru, podporządkowane zawsze i wszędzie interesom państwa i jego obywateli. Był również zły na siebie, że nie potrafi przeciwstawić się własnemu ojcu.

- Maximie Thorne, zechciej pamiętać, że jesteś dorosłym mężczyzną. Mówisz jak małe dziecko - odezwał się król głosem, w którym pobrzmiwały tłumione emocje.

Maxim stał przez moment osłupiały, zupełnie jak uczeń, który właśnie oberwał klapsa. Po chwili opadł na fotel i ukrył twarz w dłoniach. Czy naprawdę zasłużył na tę ostrą przyganę? Musiał jednak po cichu przyznać, że rzeczywiście zachowuje się jak dziecko. Trudno się dziwić ojcu, że go tak właśnie traktuje.

Szacunek nie spada z nieba, na szacunek trzeba sobie zasłużyć. A więc najwyższy czas, by zaczął zachowywać się jak mężczyzna - nie jak książę, lecz właśnie jak mężczyzna. I sam decydował o własnej przyszłości i własnym losie.

Maxim wyprostował się w fotelu i oznajmił spokojnie, lecz stanowczo:

- Nie poślubię kobiety, którą dla mnie wybrałeś.
- Dlaczego? - zapytał cicho król.
- Bo jej nie kocham.
- Czy kochasz inną?

Maxim otworzył już usta, gotów wyjaśnić ojcu, że to, co czuje do Franceski, nie jest miłością, ale potrzebą, chęcią posiadania, pożądaniem.

Ale nie mógł przecież kłamać.

Wszystko, co dotyczyło Franceski, było znacznie bardziej skomplikowane, cudownie złożone i intensywne. I tak musi wyglądać ich miłość, ich przyszłe życie.

Ależ tak, zrozumiał nagle. Przecież on ją kocha! Całym sercem, całą duszą, każdym nerwem, każdą komórką, każdym swoim oddechem.

- Tak, ojciec. Kocham inną. - Wypowiedziawszy te słowa wiedział, że jest to prawda, która go wyzwoli i doda mu sił.

Król spojrział na niego uważnie i odstawił filiżankę.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś, synu?

- Przecież wiedziałeś, że się z nią widuję. I że została jeszcze na dwa...

- Widywanie się to jeszcze nie miłość. Miłość to zupełnie inna sprawa.

- Ojciec, wiesz chyba, że mój kraj i mój lud są dla mnie wszystkim - oznajmił Maxim tonem poważnym i zdecydowanym.

- Ale?

- Ale poślubię tylko tę kobietę, którą sam wybiorę. Tę, którą kocham.

Król nic na to nie odrzekł, skinął tylko głową.

- A teraz, ponieważ wszyscy w jakiś sposób przyczyniliśmy się do tego, że kobieta, którą kocham, wyjechała z Llandaronu - mówiąc to, spojrział przelotnie na króla, a potem na Ranena - teraz wszyscy postaramy się znów ją tutaj sprowadzić.

- Więc dokonałeś już wyboru, synu?

- Tak, ojciec, Francesca jest moją wybranką.

- Twoja matka byłaby bardzo uradowana. Pragnęła dla ciebie miłości. Ale nie sądziłem dotychczas, że szukasz miłości, i dlatego... - Król urwał na chwilę, odchrząknął i oświadczył: - Twoja matka byłaby z ciebie dumna. I muszę powiedzieć, że ja też jestem dumny. Dojrzałeś, synu, i umiesz walczyć o to, co uważasz za słuszne.

- Dzięki ci, ojciec - odparł krótko Maxim. - Dzięki, że zechciałeś mnie zrozumieć. A teraz zastanówmy się, jak skłonić Francescę do powrotu. Z

pewnością jest teraz w drodze do Los Angeles, do swojej lecznicy dla zwierząt.

Chyba Fran nie wróci do tego nudziarza Dennisa? Maxim poczuł ukłucie zazdrości w sercu. Nie pozwoli, by kiedykolwiek dotknął jej inny mężczyzna. I gdy wreszcie przyklęknie przed nią, przeprosi ją za swoje idiotyczne zachowanie i scałuje wszelki smutek z jej oczu, Fran mu wybaczy i powie, że ona także go kocha.

- Chyba znalazłem idealne rozwiązanie - zakrzyknął król, wyrwijąc Maxima z zamyślenia. - Ale będziesz mógł do niej pojechać dopiero za tydzień.

- Ojcze, nie mogę tak długo czekać.

- Zaufaj mi synu, proszę cię - uśmiechnął się do niego król z błyskiem zadowolenia w oku.

Nadciągnęło wczesne lato, a z nim przychodziły na świat różne zwierzęta. Właściciele przynosili na pierwsze badania i szczepienia małe kotki i pieski. Jak zwykle o tej porze, Fran miała ręce pełne roboty. Dotychczas zawsze cieszyła się na te wizyty nowo narodzonych maluchów, teraz jednak było inaczej. Oczywiście, że wyglądały ślicznie jak zawsze, ale stale przypominały jej o Glindzie i jej szczeniętach, a zwłaszcza o jej ukochanym małym Luckym.

I o księciu.

Na myśl o nim dosłownie bolało ją serce. Tak bardzo tęskniła za nim, za Llandaronem i jego mieszkańcami. W ciągu minionego tygodnia często widywała się z przyjaciółmi, obejrzała kilka filmów, biegała po plaży nad oceanem, w sumie robiła wszystko, żeby wziąć się w garść. Jednak nocą, gdy samotnie leżała w łóżku, wciąż myślała o Maximie.

- Więc co jej jest, pani doktor?

Po drugiej stronie metalowego stołu do badań stała Amanda Randall, urodziwa blondynka, która demonstrowała imponujący biust w swoim ostatnim filmie. Lecznica przyciągała zwykle zamożnych klientów. Jeszcze niedawno temu Fran była bardzo zadowolona z tego stanu rzeczy. Praktyka w tej lecznicy była lukratywna i dzięki niej z czasem mogło się ziścić jej marzenie o otwarciu własnego gabinetu. Dzisiaj wszystko to wydawało się jej niemądre i niepoważne.

Ale nie było wyjścia, trzeba dalej żyć i pracować, właśnie tu, w tej klinice w Los Angeles. Będzie musiała wykazać cierpliwość, przystosować się do okoliczności i więcej nie marudzić - pomyślała.

- Panno Randall, Chardonnay ma pchły - oznajmiła Fran rzeczowo.

Obramowane kapiącymi od tuszu rzęsami zielone oczy nowej gwiazdki na hollywoodzkim firmamencie zrobiły się okrągłe z przerażenia.

- To niemożliwe! - pisnęła

Aby dowieść słuszności swej diagnozy, Fran przeczesła gęstym grzebieniem białego szpica, po czym zbliżyła grzebień do lampy:

- Może zechce pani sama się przekonać...

- Ach nie - parsknęła gwiazdka, wyraźnie obrażona podobną sugestią.

Jak mogła dotąd poważnie traktować te rozpieszczone sławy? Fran omal nie popukała się w głowę.

- Czy spryskiwała ją pani tym płynem przeciw pchłom, który zaleciłam ostatnim razem?

- Naturalnie, że nie - obruszyła się panna Randall. - To zadanie Jerry'ego.

- Jerry'ego?

- To mój osobisty asystent.

- Ach tak.

- Kręcimy w Miami w przyszłym tygodniu. Chciałabym zabrać tam Chardonnay, ale... fu, nie z tymi pchłami.

Gwoli sprawiedliwości, Fran musiała przyznać, że od czasu do czasu do gabinetu przychodzili też ludzie sławni, lecz normalni. Właśnie! Zdarzało się tak od czasu do czasu... A może po prostu teraz nic nie wydawało jej się realne, nic poza Llandaronem...

Mój Boże, jak to możliwe? Kiedy po raz pierwszy postawiła stopę na tej wyspie, od razu pomyślała, że znalazła się w krainie z baśni. Ale kiedy stamtąd wyjeżdżała, miała wrażenie, że porzuca jedyne realne życie, jakie kiedykolwiek znała.

- Więc co robić? - zapytała rozkapryszona gwiazdka. Dobre pytanie, pomyślała Fran. Właśnie, co robić? Przed tygodniem opuściła Llandaron, a Maxim ani razu nie próbował się z nią skontaktować. Właściwie nie Uczyła na to, że się do niej odezwie. Z pewnością był zajęty przygotowaniami do ślubu.

Fran odłamała końcówkę pojemnika z płynem przeciw pchłom i spryskała nim psa.

- Do końca miesiąca powinno wystarczyć. Ale jeśli chce pani uniknąć pcheł w domu i u Chardonnay, musi to pani robić sama.

- Albo zaangażować nowego asystenta.

- Jak pani woli.

Kobieta pożegnała się szybko, włożyła rękawiczki i wzięła na ręce psa, trzymając go z dala od siebie. W drzwiach minął ją Dennis. Obdarzył ją uprzejmym uśmiechem, po czym zwrócił się do Fran:

- Dużo dziś roboty.

- Aha - odparła Fran i kiwnęła głową.

Po jej powrocie z Llandaronu powrócili do statusu przyjaciół. Tak było kiedyś i teraz ten stan im obojgu odpowiadał.

- Dobrze się czujesz, Frannie? - zapytał Dennis, ściągając brwi i popatrując na nią niepewnie.

- Tak - odparła, chociaż życie ze złamanym sercem trudno nazwać dobrym samopoczuciem.

- Posłuchaj - zaczął Dennis, pomagając jej uprzątnąć papierowe ręczniki, watę i pojemnik po płynie. - Już niedługo zamykamy. Czy myślisz, że mógłbym się odmeldować trochę wcześniej?

- Masz randkę? - zażartowała.

- Tak, właśnie.

- Ooo - wymknęło się Fran.

- Jest ci przykro?

- Nie, skąd! Bardzo się cieszę. - Jednocześnie Fran poczuła się jednak odrobinę zazdrosna, nie dlatego, by żywiła do Dennisa uczucie głębsze niż przyjaźń, ale dlatego, że on miał kogoś, z kim bardzo chciał się spotkać, a ona kogoś takiego straciła.

- Jest jeszcze jeden pacjent - uśmiechnął się do niej Dennis. - I to pilny przypadek.

- Zajmę się nim, a ty już idź. I baw się dobrze.

- Tobie życzę tego samego, Fran - powiedział, mrugnął do niej i wyszedł. Po chwili usłyszała, jak mówi do kogoś:

- Proszę tędy.

W drzwiach stanął... Nie, to niemożliwe! Coś się jej musiało przywidzieć, pomyślała Fran i przetarła oczy. Ale nie, to był on!

Ten uśmiech, któremu nie sposób się oprzeć, te oczy szafirowe jak chabry. Smukły, wysoki, w szarych spodniach, białej koszuli i granatowym blezerze.

- Maxim! - zawołała.

- Dzień dobry pani doktor - odpowiedział Maxim miękkim barytonem, za którym tak bardzo się stęskniła.

- Co ty tu robisz?

- Przyjechalibyśmy wcześniej, ale mój towarzysz musiał przedtem przejść szczepienia. To ktoś, kto ciebie potrzebuje, Francesco - powiedział i wyciągnął zza pleców malutkiego pieska.

- Lucky? - zdumiała się Fran, podeszła do Maxima i wzięła z jego rąk śpiące szczeniátko.

- Tak, przywiozłem ci Lucky'ego. Ale ja potrzebuję cię jeszcze bardziej niż on. Myślałem, że oszaleję, kiedy wyjechałaś. Pod twoim wpływem zmieniłem się, Fran. Z księcia stałem się mężczyzną z krwi i kości.

- Powiedz mi, dlaczego tu przyjechałeś - wydusiła z siebie Fran - zanim i ja oszaleję.

- Nie mogę bez ciebie żyć.

- A księżniczka o końskiej twarzy?

- Nie ma żadnej księżniczki. Nigdy nie było. - Maxim pochylił się ku niej, pocałował ją delikatnie w usta i szepnął: - Zawsze byłaś tylko ty.

Fran poczuła, jak serce bije jej nierówno, a potem nagle unosi ją do samego nieba. Tak bardzo pragnęła usłyszeć te słowa, a jednak...

- A twój kraj, twoi poddani?

Maxim odchylił do tyłu głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

- Oni cię uwielbiają i pragną mojego szczęścia.

- A twój ojciec...

- Mój ojciec czekał tylko, bym wreszcie powiedział, że cię kocham.

Fran poczuła, jak w oczach wzbierają jej palące łzy. Mocniej przycisnęła do piersi Lucky'ego.

- Powiedziałeś, że mnie kochasz? - Te słowa brzmiały tak cudownie... Ale czy mogła w nie uwierzyć? Czy wolno jej było jeszcze raz, ten ostatni raz, mieć nadzieję?

- Kocham cię, Francesco - oświadczył Maxim krótko, prosto i szczerze, po czym objął ją razem z pieskiem i mocno przytulił do siebie.

- Pamiętasz, jak w dniu, kiedy się poznaliśmy, powiedziałaś mi, że człowiek powinien mieć możliwość wyboru?

- Pamiętam - odrzekła z gwałtownie bijącym sercem.

- Widzisz, bałem się, czy dokonam właściwego wyboru. Mój lęk przed utratą panowania nad sytuacją przesłaniał mi prawdę. Ujrzałem ją dzięki tobie.

- Och, Maxim - wyszeptała Fran, pod którą ze wzruszenia ugięły się nogi.

- Jesteś częścią mojej duszy, Francesco, tak jak ja jestem częścią twojej.

- Czy jesteś pewien, że tego pragniesz, Maxim? Że chcesz być ze mną?

- Musiała to wiedzieć. Musiała być przekonana, ze względu na niego i na siebie. Ze względu na ich przyszłość.

Maxim ujął ją pod brodę i pocałował mocno w usta.

- Niczego w życiu nie byłem tak pewien jak tego. To właśnie pragnęła usłyszeć.

- Tak bardzo cię kocham, Maxim. Nie myślałam, że można tak mocno kochać,

- Więc wracaj ze mną do domu, moja ukochana księżno.

- Do Llandaronu? - szepnęła, a w jej oczach stanęły znów łzy szczęścia.

- Tak. Będziesz tam mogła praktykować, podobnie jak tu. Wiele zwierząt cię potrzebuje, twojej kompetentnej, troskliwej opieki.

Łzy potoczyły się jej po policzkach i nie potrafiła już ich powstrzymać. Jeszcze miesiąc temu wzbraniała się przed miłością, lękała się utraty panowania nad swoim życiem, podporządkowania się mężczyźnie, który mógłby ją zranić. Nie wierzyła w bajki. Teraz przekonała się, u boku mężczyzny, którego pokochała całym sercem, swojego księcia, że bajki czasami stają się rzeczywistością. I ponieważ uwierzyła w prawdziwą miłość, prawdziwa miłość uwierzyła w nią samą.

- Kocham cię bardziej, niż potrafię to wyrazić, Maxim. I pójdę za tobą na koniec świata. Dokąd tylko zechcesz.

Gdy Maxim znowu ją pocałował, miała wrażenie, że znalazła się z powrotem w latarni morskiej i że o skały wybrzeża tłuką spienione fale.

- Francesco, czy zechcesz mnie poślubić? - szepnął Maxim. - Proszę cię, zostań moją żoną. Moją księżną.

- Tak, Maxim, ach, tak.

- Będziemy mieli dzieci. Stworzymy wspaniałą rodzinę. Jej serce ogarnęło rozkoszne ciepło, gdy spojrzała w oczy mężczyzny, który zostanie jej mężem, księciem i ojcem jej dzieci. Na zawsze. Otrzymała w tej chwili wszystko, o czym tylko mogła marzyć w głębi serca.

- Mam wrażenie, że żyję w jakiejś pięknej bajce. - Uśmiechnęła się do niego i przytuliła głowę do jego piersi.

- Masz rację - odparł i przytulił ją jeszcze mocniej. - A wiesz, jak kończą się bajki?

- Chciałabym to usłyszeć z twoich ust - zaśmiała się Fran.

- „A potem żyli długo i szczęśliwie”. Tylko pomyśl, co nas jeszcze czeka!

RS